

INDEKS 38 47 98  
ISSN 1232 - 8588

# Tanew

Nr 2 (260)  
II kwartał 2009

Kwartalnik  
Biłgorajski



cena 4.99 zł (w tym 0% VAT)

Miasto • Ziemia • Przedsiębiorczość • Dobro wspólne • Dziedzictwo • Kultura



# DNI BIŁGORAJA 2009

5-7 czerwca



## Wstęp

3 Stefan Szmidt

## Mój Bilgoraj

4 Henryk Wujec  
Bilgoraj

## Tradycja, historia, obyczaje

9 Czesława Borowik  
Wołanie o pamięć10 Tomasz Brytan  
Bitwa pod Panasówką14 Wiesław Myśliwski  
Kres kultury chłopskiej16 Dorota Skakuj  
Lapidarium kiedyś22 Piotr Flor  
Jak powstała parafia26 Wiktoria Klechowa  
Ulica gen. Bora-Komorowskiego

## Reportaż

6 Czesława Borowik  
Jak owce dla wilków20 Adam Sikorski  
Komentarze do Mapy Tajemnic27 Joanna Wyrostek  
Przeznaczeni

## Dla dobra wspólnego

12 Waldemar Rataj  
Kultura solidarności szansą na  
odnowienie samorządności  
obywatelskiej24 Marek Szubiak  
50 lat w służbie miasta

## Kultura

17 Ernest Bryll  
Co ginie i już tego nie ujrzymy28 Halina Olszewska  
Potrójna magia teatruDominikańskie listy  
z Lublina18 o. Tomasz Dostatni  
Ojciec też człowiek

## Ludzie Bilgoraja

32 Stefan Szmidt  
Teraz jest milczenie

## Czy warto być bilgorajaninem

30 Joanna Wyrostek  
Bilgoraj nie dla turystów

## Sztuka kulinarna

34 Alicja Jachiewicz - Szmidt  
Niedyskrecje kulinarne

Drogi Państwo

„Bilgoraj, słowo Bilgoraj porusza tyle myśli, tyle emocji, niech ktoś powie, że pozostaje obojętny, gdy słyszy gdzieś w świecie: Bilgoraj!” - pisze Henryk Wujec w tym numerze „Tanwi”. Od dziecka związany z naszym miastem, a od tego wydania także z naszym kwartalnikiem.

Na kolejnych stronach znajdują Państwo reportaże Adama Sikorskiego, który odkrywa przed nami kolejną mapę tajemnic i Czesławy Borowik, która rozmawiała z ostatnimi bohaterami walk pod Osuchami.

Cieszymy się, myślę, że wspólnie, iż Wiesław Myśliwski, Waldemar Rataj, Ernest Bryll i o. Tomasz Dostatni - to pióra, które zdomowały się już w naszej gazecie.

Jak powstała parafia św. Marii Magdaleny? Kto jest pochowany na starym cmentarzu przy ul. Lubelskiej? Jak wyglądała kiedyś ulica Bora - Komorowskiego? - odpowiedzi na te pytania szukajcie Państwo w tekstach Piotra Flora, Doroty Skakuj i Wiktorii Klechowej.

Tegoroczna edycja Wiosny z teatrem na Kresach była dużym wydarzeniem kulturalnym w naszym mieście. Halina Olszewska



pisze o „Potrójnej magii teatru” - potrójnej, bo trwającej aż trzy dni, podczas których mogliśmy obejrzeć trzy wspaniałe spektakle. Jeśli ktoś chciałby wspomnieć te magiczne chwile w teatrze raz jeszcze - zapraszamy na stronę 26.

Udanych wakacji i przewagi słońca nad deszczem oraz milej lektury na leżaku!

Stefan Szmidt

Wydawca:  
Bilgorajskie Centrum  
Kultury  
Dyrektor:  
Stefan Szmidt  
Adres: 23-400 Bilgoraj  
Ul. Kościuszki 16,  
Tel./fax 686 04 15,  
tel. red. 084 686 33 70  
e - mail: [tanew@gazeta.pl](mailto:tanew@gazeta.pl)  
[www.bck.lbl.pl](http://www.bck.lbl.pl)

Dział Medialny:  
Szef działu - red. naczelny:  
Gabriela Figura

Red. wydania:  
Joanna Wyrostek

Skład graficzny:  
Jarosław Szozda

Marketing i reklama:  
Jarosław Szozda (BTK)  
Tel. 0 84 686 33 70  
e - mail: [bt\\_kreklama@lbl.pl](mailto:bt_kreklama@lbl.pl)

Druk:  
DRUKARNIA  
ATTYLA  
22-400 Zamość  
ul. Partyzantów 61  
tel. +48 84 638 60 00

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo redagowania oraz skracania nadesłanych materiałów i zmiany tytułów.



Na zdjęciu: bilgorajska rzeka  
Biała Łada.  
fot. arch. red.

Było...

## SOLIDEO 2009

W dniach 4-5 lipca 2009 r. przy scenie letniej Biłgorajskiego Centrum Kultury, odbyła się X Edycja Ogólnopolskiego Festiwalu Piosenki Religijnej „Soli Deo”. Głównym organizatorem tego przedsięwzięcia było Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży „Nadzieja” z Gromady, Komitet Organizacyjny „Soli Deo”, na czele z księdzem dyrektorem Markiem Kuśmierczykiem. Patronat duchowy nad festiwalem objął Jego Ekscelencja Ksiądz Biskup Waclaw Depo.

Nowością tegorocznego festiwalu były codzienne Msze św. na placu festiwalowym tuż przed rozpoczęciem prezentacji dorobku twórczego przez samych uczestników. W drugim dniu Mszy św. przewodniczył Ks. dr Adam Firoz - Kanclerz Kurii.

Oficjalnego otwarcia X edycji festiwalu „Soli Deo” dokonał ks. Marek Kuśmierczyk. W części konkursowej udział wzięło 20 wykonawców przybyłych z całej Polski, m. in. z Bielska Podlaskiego, Jaworzna, Zamościa, Lubaczowa, Potoka Górnego, Lublina, Wielogłowy, Szczepieszyna, Rypina czy Przeclawa.

Każdy z uczestników prezentował po dwa utwory. Festiwal mógł odbyć się dzięki ofiarności ponad 100 sponsorów, którzy, dzięki staraniom księdza dyrektora, także w tym roku licznie dopisali. Podczas trwania festiwalu dużym zainteresowaniem cieszyła się loteria fantowa, cena losu wynosiła 5 zł, każdy los wygrywał, a nagrody były bardzo ciekawe. Po prezentacjach jury udało się na obrady, by wyłonić zwycięzcę.

Lista nagrodzonych uczestników festiwalu:

- Wyróżnienia otrzymali: zespół „Anielsi” z Lubaczowa oraz „Zespół Okazjonalny” z Jaworzna.

III miejsce - zespół „SURSUM CORDA” z Biłgoraja.

II miejsce - Joanna Mania z Lublina oraz zespół „Syjon” z Lublina.

I miejsce - Mateusz Wiśniewski z Rypin oraz Studio Piosenki „FART” z Bielska Podlaskiego.

Nagrody Grand Prix w tegorocznej edycji jury nie przyznało.

Nagrodę publiczności zdobył zespół „Kanaan” z Biłgoraja.

W sobotę odbył się koncert wieczorny zespołu ewangelizacyjnego „Testimonium”. W niedzielę znany już od dawna na scenie muzyki chrześcijańskiej zespół New Life'm. Po krótkim oczekiwaniu, zespół pojawił się na scenie, przyjęty przez młodych fanów wielkimi oklaskami i okrzykami. Koncert ten późnym wieczorem zakończył X Ogólnopolski Festiwal Piosenki Religijnej „Soli Deo” w Biłgoraju.

Miroslaw Kita

## BIŁGORAJ

**Prosił mnie Stefan Szmidt o stały felieton w „Tanwi”. Myślałem o tym trochę, o czym pisać? Najlepiej byłoby komentować wydarzenia, współczesne sprawy, którymi wszyscy żyjemy, ale, ale...**

Ale przecież Biłgoraj, słowo Biłgoraj, porusza tyle myśli, tyle emocji, niech ktoś powie, że pozostaje obojętny, gdy słyszy gdzieś w świecie: Biłgoraj! Nie żartuję, jakoś nigdy nie mogłem się określić inaczej niż jak: „jestem z Biłgoraja”, a dokładniej „spod Biłgoraja”, ze wsi Podlesie k. Biłgoraja, takie mam wpisane miejsce urodzenia. Czy to jednak na pewno Podlesie? A to już inna sprawa, bo gdy byłem mały, wszyscy mówili na naszą wioskę Czostek (pytanie do młodych: co to jest czostek?), a podobno przed Pierwszą Wojną (światową!) wioska zwała się Aleksandrowską Swobodą, gdyż miłościwy car Aleksander (rok 1864) wyzwolił nas od pańszczyzny; z dumą zawsze podkreślam, że jestem z chłopów pańszczyźnianych.

Ale wróćmy do Biłgoraja. Z prawdziwą pasją odkrywałem i odkrywam wszystkie wzmianki w literaturze pięknej o Biłgoraju, wymienię je tu w kolejnych odcinkach, ale jeśli ktoś zna inne, to bardzo zapraszam, proszę się podzielić. My też chcemy wiedzieć!!

Chociażby taka: być może etymologie słów Biłgoraj, Goraj i Gorajski są różne, nie znam się na tym, proszę o uwagi, ale czyż nie napawa nas dumą fakt, że książę, komes - pisze Paweł Jasienica w Polsce Jagiellonów- Dymitr Gorajski podskarbi koronny, który odgrywał główną rolę na dworze ostatniej panującej Piastówny, królowej Jadwigi, wytłumaczył kilkusetletniej temperamentnej królowej, co toporem chciała sobie wyrąbać drogę do małżeństwa z ukochanym Wilhelmem Habsburskim, że polska racja stanu wymaga małżeństwa z trzykrotnie od niej starszym

## Henryk Wujec

Urodził się w Podlesiu koło Biłgoraja w rodzinie chłopskiej. Jako jedyny z całej wsi poszedł na studia, зараżony miłością do fizyki przez biłgorajskiego nauczyciela Adama Rottenberga. Działacz opozycji demokratycznej w czasach PRL, członek KOR-u. Sekretarz Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie, poseł na Sejm z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego, Unii Demokratycznej i Unii Wolności, a także wiceminister rolnictwa. W czerwcu tego roku otrzymał tytuł Honorowego Obywatela Miasta Biłgoraj.



Jagiellą. I tak stała się Unia Polsko-Litewska. A potomek Dymitra, Adam (kalwin -nota bene), ufundował nam w 1578 roku Biłgoraj.

Więc jak mógłbym po prostu, tak sobie, komentować współczesne wydarzenia, które przecież za chwilę przesłonią kolejne nowości, a nie odnieść się do tego, kiedy po raz pierwszy w moim życiu, w mojej świadomości pojawił się Biłgoraj.

Pomyślcie! A kiedy Wy, Drodzy Czytelnicy, po raz pierwszy uświadomiliście sobie wyjątkowość tego brzmienia: Biłgoraj?

Proszę o cierpliwość, do współczesności też dojdziemy, współczesność przecież nie ucieknie, zawsze jest z nami, zawsze zdążymy o niej porozmawiać.

Więc kiedy ten Biłgoraj pojawił się po raz pierwszy w moim życiu?!

Nie pamiętam, kiedy byłem pierwszy raz w Biłgoraju. Ale pewnie to było wtedy, gdy mama w ciąży (miał się urodzić mój brat) ukrywała się w lasach pod Brodziakami, a tata - ktoś musiał prowadzić gospodarstwo - poszedł z bankami pełnymi mleka do Biłgoraja, mnie zostawiając u sąsiada, swojego wujka. Gdy wrócił wujka już nie było, nie było również mnie, wszystkich zabrali Niemcy do Majdanka. Była to pacyfikacja wioski Zamojszczyzny, kolejny zbrodniczy pomysł hitlerowców w czerwcu roku 1943. Podobno najpierw nas trzymali przy kościele w Puszczy Solskiej, potem wywieźli do Zwierzynca, a stamtąd do Majdanka. Nie pamiętam tej pierwszej swojej podróży do Biłgoraja, miałem dwa lata i sześć miesięcy. Potem, gdy mieszkająca pod Lublinem moja babcia, siostra wujka, z którego rodziną zostałem zabrany, cudem,

w ostatniej chwili uratowała mnie z Majdanka, tata przyjechał i zabrał mnie znowu na Podlesie, musiałem więc już drugi raz, kilka miesięcy później, przejeżdżać przez Biłgoraj, nic nie pamiętam. Czy jednak zupełnie nic?

To moje pierwsze, najsilniejsze wspomnienie: Jest już rok 1944, dokładnie rok później, pilnuję krów w „Cegielni” (3,5 roczne dziecko!), w gorące południe biegnę do sąsiedniej chaty napić się wody, oglądam się, a za mną pędzi żołnierz, wpadam w paniczny strach, na pewno chce mnie porwać, spazmatycznie krzyczę, biegnę jak oszalały, żołnierz za mną, wpadam do pierwszej chaty, chwyta mnie sąsiadka i utula, a żołnierz.... nabiera wody ze studni. Te przeżycia sprzed roku, ci żołnierze zabierający nas z domu, eskortujący przez Biłgoraj, pilnujący w Majdanku, zostali w najgłębszych zakamarkach pamięci.

I drugie wspomnienie, może miesiąc, dwa później. Na naszym podwórku w Podlesiu ruch, kręcą się jacyś żołnierze w zielonych mundurach, jeden z nich okraciłem staję



Pożar budynku Starostwa w Biłgoraju. Fot. archiwum Muzeum Ziemi Biłgorajskiej

na cembrowinie studni i „żurawiem” nabiera wodę dla koni, ujada pies, mój ukochany Bukiet. Siedzimy cicho w kuchni, nagle pada strzał, milknie ujadanie psa, wchodzi mama i mówi: „zabili Bukieta” - to już żołnierze radzieccy.

No więc kiedy zobaczyłem ten Biłgoraj?

Na pewno chodziliśmy w niedzielę do kościoła w Puszczy Solskiej, a Puszcza Solska, to wtedy przedmieście Biłgoraja, jeszcze nie Biłgoraj, ale już przedsmak „wielkiego miasta”. Do kościoła chodziliśmy boso. Tam, gdzie teraz jest most na Czarnej Ładzie w kierunku Tarnogrodu, przekraczaliśmy bród i po drugiej stronie rzeki zakładaliśmy buciki, ale czy zawsze, w lecie przecież cały czas biegaliśmy boso.

W drugiej klasie szkoły podstawowej chodzimy już na religię do kościoła, przygotowujemy się do pierwszej komunii. Jesteśmy większymi chłopakami, w głowie nam różne figle, czy takie, jakie podobno przytrafiły się Wałęsie, nie wiem, wspinamy się na przykościelne kasztany, skaczemy z muru okalającego kościół (jest do tej pory) na chodnik, koniecznie piętami na beton, bo to ciekawiej, uczymy się spowiedzi tak, że jeden z nas siedzi w konfesjonale, a drugi rozpoczyna spowiedź, powtarzając wszystkie formułki - znam je do tej pory.

Kiedy jednak uświadomiłem sobie, że Biłgoraj, to coś więcej niż Puszcza Solska? Chyba wtedy, gdy spaliło się Starostwo - teraz jest tam

PZU. Który to był rok? Z naszej wioski widać było wielką łunę pożaru, kłębiące się dymy. Dorośli mówili, to chyba pali się Starostwo. Wspiąłem się na wysokie drzewo, żeby lepiej widzieć: więc tam jest ten inny świat, Biłgoraj i tam jest Starostwo!

Już niedługo, może rok później, mama zabrała mnie ze Szkoły Podstawowej w Dereźni, gdzie chodziłem: „tu się nic nie nauczysz” i zapisała mnie do 4-ej klasy Szkoły Podstawowej w Biłgoraju, tam, gdzie teraz jest Liceum. Codziennie od września roku 1950 chodziłem 3 km do szkoły. Nikogo tam nie znałem, chociaż nie, jednego chłopaka poznałem w czasie nauki religii w Puszczy, mieszkał przy kościele, Edek Niećko. Co za radość, siedzimy razem w jednej ławce, pierwsza przyjaźń. Powoli aklimatyzuję się do warunków miejskich nie tracąc tożsamości, chyba dość szybko czuję, że ta moja wiejskość, to wartość. Gdy wracam kupuję czasem w sklepie w Puszczy Solskiej chleb, ludziom ze wsi nie wolno kupować w mieście chleba, ale dziecku pozwalają. (cdn) □



Kościół w Puszczy Solskiej w latach II wojny światowej.  
Fot. archiwum Muzeum Ziemi Biłgorajskiej



## Czesława Borowik



reportażystka  
Rozgłośni Pol-  
skiego Radia  
w Lublinie,  
prezes Stowa-  
rzyszenia Miło-  
śników Histo-  
rii Mówionej  
z siedzibą w

Polskim Radiu Lublin, organizator  
Radiowej Akademii Historii Mówio-  
nej, laureatka międzynarodowych  
konkursów dziennikarskich. W latach  
2003-2007 kierowała działem  
medialnym Biłgorajskiego Centrum  
Kultury.

- Tu zara Niemcy pojado w hełmach niemieckich. - Ja liczę, że pewno bedo najeżdżać z tamtej strony i bedo sie bić - komentowali akcję grupy rekonstrukcyjnej oparci o plot chłopi. -Wszyscy uzbrojeni w oryginalną broń pochodzącą z epoki. To steny, visy, pistolety radzieckie, pepesze, karabiny mauzery, RKM- y, brauningi polskie, wzór 28, ba! CKM wzór 30. A tutaj niemieckie RKM- y na takie taśmy - objaśnia Jerzy Waszkiewicz z Muzeum w Biłgoraju.

Plac w Osuchach zaludniał się coraz bardziej. Na parking podjeżdżali z warszawskimi i innymi rejestracjami sędziwi już, byli żołnierze AK z biało-czerwonymi opaskami na przedramieniu z napisem AK, m.in.: Czesław Mużacz ps. „Selim”.

- Tu się straszne rzeczy działy, 3 dywizje wojska były przeciw. Ja byłem komendantem rejonu Armii Krajowej, 6 wsi dostałem pod swoje rządy - mówi Mużacz.

- A ja należałem do Armii Krajowej już od 1941 roku - tłumaczy Marian Witkowski z Długiego Kąta. - Byłem łącznikiem, gromadziliśmy tutaj dużo amunicji, broni. Było nas bardzo dużo. Oddział „Wira”, w którym byłem, liczył około 200-u ludzi. Wszystkich nas było ok. 1000 partyzantów Armii Krajowej. Powiedział nasz dowódca - Konrad Bartoszewski ps. „Wir”: „Zbliżamy się do walki, może ktoś chce iść do domu? Proszę bardzo, nikogo nie trzymam.” Przeszliśmy spod Aleksandrowa z miejscowości Szepietniak do leśnych bunkrów, gdzie był oddział i Konrad Bartoszewski, razem wyruszyliśmy w lasy tu pod Hamernię.

# Jak owce dla wilków

**W największej polskiej bitwie partyzanckiej, o której zapomniała powojenna historia walczyło około tysiąca partyzantów (głównie z AK, ale i BCh). Przeciwko nim ok. 30 000 uzbrojonych po zęby żołnierzy Wehrmachtu. Nieliczni, którzy przeżyli byli prześladowani przez NKWD, UB, KBW. Po latach mówią, że byli rzucający jak owce wilkom na pożarcie.**

- Czy Pan się domyśla, jaki cel w tym mieli Niemcy, żeby w 1944 roku, a zatem pod koniec wojny zaatakować oddziały partyzanckie pod Osuchami i zrobić rzeź na skalę Polski największą? - pytam Mużacza.

- Żeby sobie, jak to się mówi, tyły zabezpieczyć, wycofujące się oddziały. Pani sobie wyobraża, gdyby oni nie rozbili naszych oddziałów, to wszyscy Niemcy, albo połowa została by w Polsce rozbrojona, - Czyli w obronie własnej?

- W obronie własnej, tak.

- Pierwszy bój rozpoczęliśmy naprzeciw Bernarda - mówi Witkowski - Ale nie udało się. Za dużo było Niemców, czołgów, tankietków i szliśmy cały dzień, całą noc pod Osuchy. Tu nastąpiła zmiana dowództwa. Mjr Markiewicz ps. „Kalina” zrzekł się dowództwa, przyjął je Konrad Bartoszewski ps. „Wir”. - Poszedłem ze swoim oddziałem do oddziału „Wira”. Myśmy powinni uderzyć o godzinę wcześniej. A ja pod przysięgą mówię, że trzy razy mu mówiłem: Konrad uderzamy! - Marian Witkowski pamięta dobrze, że Konrad Bartoszewski wydał rozkaz: Maszynowa broń na pierwszą linię. Wszystkie RKM- y, piaty, każdy odbezpieczony, żeby trzymał w ręku granat. Zbliżamy się do stanowisk niemieckich.

- To jest Sindap Sahara, 750 pojemności, produkowany w okresie od 1940 do 1945 roku. Był bardzo pospolitym motocyklem w oddziałach Wehrmachtu - tłumaczy zgromadzonym wokół Franciszek Czubieli, pasjonat starej motoryzacji z grupy rekonstrukcyjnej. - Co to jest, jak to jest, że to jeszcze jeździ? - pyta ktoś zdziwiony. - To jest wszystko oryginalne, karabin maszynowy niemiecki, pistolet. My to zachowujemy jako ślad historii, która musi być prawdziwa, czy ona jest dobra czy zła, ale musi być prawdziwa

i trzeba ją pokazać. - A jak Pana ludzie odbierają w tym niemieckim mundurze? - pytam. - Zostałem przyjęty bardzo grzecznie, ale jeden człowiek zmierzył mnie wzrokiem: - Panie, nie wstydi się pan w tym chodzić? - Jestem na takie reakcje przygotowany. To mnie wcale tak nie cieszy, że jestem tu w mundurze niemieckim, bo ja również przeżyłem okupację i widziałem jako dziecko co tu robili Niemcy. No, ale to wszystko przeszło, dzisiaj trzeba się pojednać, bo inaczej nie możemy być w Europie.

Wśród tłumów, z estrady dobiega nas głos z głośników: - Proszę państwa właśnie przechodzą w tej chwili przed sceną nasi partyzanci, proszę obejrzeć. Uzbrojenie, umundurowanie, jest jedyna okazja w tej chwili, żeby zobaczyć jak wyglądali. To są ludzie, którzy społecznie chcieli się zaangażować. Jeżeli taką broń mieliby partyzanci w Osuchach przed 60-u laty to najprawdopodobniej nie daliby się tak okazywać.

- O północy znaleźliśmy się pod Osuchami - opowiada Marian Witkowski. - Dowództwo się podzieliło, każdy na swoją stronę. Oddział Wojny osobno, oddziały bechowców osobno, jedne w Poliszówce, drugie na Fryszarce, a nasz oddział, Konrada Bartoszewskiego przedzieramy się w Osuchach. - Tam potężne bagna, nie do przebycia dorzuca historyk, regionalista z Józefowa Józef Król (pomysłodawca i uczestnik wielu moich reporterskich wypraw śladami historii). - Tak, tak. Konie wszystkie potopiły się.

Mużacz: - Chowaliśmy się, cofaliśmy się w lasy, pić się chciało. W nocy padał deszcz, to piło się tę wodę z kolein, przez chusteczkę. Zanim Niemcy zdecydowali się ścisnąć nas w pierścień - to z tydzień trwało.

- Dobrze celuj! - Patrz panie,



*Uroczystość 65. rocznicy bitwy pod Osuchami- uczestnicy walk*

Niemcy, germańcy, patrz panie o! Strzelają z karabinów! Patrz, o jak wałą! Już ręce do góry Niemcy podnieśli! Już pędzą ich. O patrz panie, tak z Niemcami robili Polacy, o już Niemcy do góry ręce podnieśli, widzi pani? Już pędzą, o już masz! - Ale dymu...! Ubezpieczenie wychodzi najpierw, potem oddział partyzancki robi zasadzkę, natrafia na patrol niemiecki... - To pożar będzie - zaczynam się niepokoić. Nasze ubezpieczenie bierze Niemców do niewoli - uspokajają mnie Waszkiewicz - towarzyszy temu huk petard... -Odślonić! ktoś krzyczy. Zejść proszę z szosy!

To oddział partyzancki przebija się przez pierścień okrążenia Niemców na rzece Sopot - tłumaczy Waszkiewicz.

- Według mnie jedna trzecia zginęła tych, którzy się cofnęli - wspomina ten moment Mużacz. Nie wytrzymali nerwowo, uważali, że albo się schowają w bagnie albo na świerku, sośnie... a kiedy przyjdzie czas, będziemy się przebijać. - Nie myślał Pan wtedy o śmierci? - Nie, nigdy nie myślałem. Kto się przebija, to przebija, a kto zginie, to... - Kto się przebija, ten przeżyje. - Tak.

- W kotle byliśmy pięć dni. Podczas przerywania pierścienia byłem ranny - wspomina Aleksander Chwiejczak. Ukrywałem się przez dwa i pół dnia w bagnie. Później mnie znalazło trzech mężczyzn, którzy mnie zabrali i zanieśli do punktu, gdzie już był jeden ranny, jakiś chorąży z AK. Po dwóch godzinach -

we trzech przynieśli kolegę z mojego plutonu... Henryk Staniszewski był ciężko ranny. Tam nie wiem, ile dni my leżeli i stamtąd mnie zabrali do Suśca. I w Suścu leżałem u rodziny Skrobanów. Nie mogę o tym mówić.

Dobiegają nas na skraju placu wystrzały, odgłosy bitwy.

- No, ja byłem prostym żołnierzem, specjalnie nie znam tajemnic, ale jakeśmy się połączyli, bo nasz batalion był z Hrubieszowa, połączyliśmy się z oddziałem Wojny, to uradzili wspólne przerwanie. I w ostatnich, w przedostatnich dniach nawet była taka klęska, że mój

porucznik o tu leży, zastrzelili siebie i swoją przyjaciółkę, bo tego chciała. - Dlaczego? - pytam.

- On widział, że już nie ma innego wyjścia. Był ranny, pod Bondyrzem, zaraz w pierwszym boju był ranny. I były takie przypadki np. kolega dostał kulę w szczękę i odbiło mu brodę, no musieli go koledzy dobić, bo nie było żadnego innego wyjścia, ratunku... - (głos Chwiejczaka załamuje się)

- Zginął mój brat tutaj 24 czerwca w 1944 roku, ratując życie koledze, który już też nie żyje - wspomina Maria Dębowska, która co roku tu przyjeżdża. - Dostał rozkaz od Selima, żeby wyszedł z okrążenia i wyniósł tego rannego. Więc brat wziął go na ramiona, niósł go jakiś kawałek drogi i dostał od Niemców z karabinu maszynowego tutaj w tętnicę i tam właśnie zginął ratując życie drugiej osobie.

- Dostaliśmy silny ogień tak, że nie było można głowy podnieść - mówi Selim. I mnie w tym momencie przypomniało się, jak w 1920 roku bolszewicy przygwoździli ogniem nasz jakiś oddział. - Był pan wychowywany na legendzie Marszałka Piłsudskiego? - O tak, oczywiście. I ten dowódca oddziału już nie miał innego wyjścia, tylko zaczął krzyczeć „Hura!” i zacząłem straszliwie się drzeć „Hura!” I to może dodało moim żołnierzom otuchy, żeby iść naprzód. A Niemcy może... zgłupieli - ktoś dorzuca... bo jakeśmy dotarli do tych okopów to na



*Rekonstrukcja bitwy pod Osuchami*

**Było...****W Korytkowie mają Orlika**

17 kwietnia oddano do użytku boisko w ramach rządowego programu Orlik 2012 w Korytkowie Dużym.

To kompleks do piłki nożnej, koszykówki, siatkówki i gry w tenisa. Z Urzędu Marszałkowskiego pochodzi 333 tys. zł. Tyle samo przekazało Ministerstwo Sportu. Ponad 600 tys. przekazał biłgorajski Urząd Gminy.

Trzyletni plan zakłada powstanie w całym kraju 2 tys. tego typu obiektów.

**... a w MZS wielofunkcyjne boisko**

Pod koniec kwietnia przy Miejskim Zespole Szkół w Biłgoraju oddano do użytku wielofunkcyjne boisko sportowe z nawierzchni syntetycznej. Inwestycja kosztowała prawie 600 tys. zł.

**Coś dla ducha**

Dzięki determinacji i uporowi wiernych w miejscowości Chmiełek (Gmina Łukowa), powstał Samodzielny Ośrodek Duszpasterski, o którego dokonaniach głośno w całym powiecie. Powstał w lipcu 2008 roku i wpisuje się chlubnie w historię świątyni, a więc i życia religijnego mieszkańców tej ziemi. W miejscowości Chmiełek, o której pierwsze wzmianki pochodzą z 1426 roku, a która swą nazwę wywodzi od nazwiska właścicieli tych dóbr rodziny Chmieleckich, pierwszą świątynią była cerkiew. Jak podają źródła historyczne istniała ona przed rokiem 1579, bo w tym roku Sebastian Chmielecki odnowił jej fundusz. Już w roku 1596 po Unii Brzeskiej w Chmiełku funkcjonuje tzw. cerkiew unicka, a od roku 1772 parafia grekokatolicka z drewnianą świątynią pod wezwaniem Narodzenia NMP przypomina Jan Rój, emerytowany nauczyciel historii, który od 31 lat mieszka w Chmiełku.

**Zjazd absolwentów Liceum Pedagogicznego**

1 maja w Regionalnym Centrum Edukacji Zawodowej spotkali się Absolwenci Liceum Pedagogicznego w Biłgoraju. Zainaugurowała je Msza św, która została odprawiona w kościele św. Marii Magdaleny. Zjazd rozpoczął się przemówieniem przewodniczącego Rady Miasta Biłgoraj Zygmunta Dechnika. W swym wystąpieniu przypomniał, że to już IV zjazd i że z roku na rok inicjatywa cieszy się niesłabnącą popularnością.

**Jubileusz Zespołu Szkół Leśnych**

W maju Zespół Szkół Leśnych w Biłgoraju obchodził 45-lecie istnienia. Ta uroczystość zbiegła się z nadaniem szkole imienia Polskiego Towarzystwa Leśniczego.

tej linii nie było Niemców.

- Zrobiliśmy okrzyk, wielki okrzyk „Hura!” - potwierdza Witkowski.

- Zaczęliśmy ze swoich RKM-ów dawać ognia, Niemcy swoją drogą i zrobiliśmy niedużą przerwę, w której nas Niemcy odstąpili.

Rozlega się palba, petardy, świece dymne, serie karabinów maszynowych, pojedyncze strzały. Partyzanci przedzierają się przez pierścień okrążenia na rzece Sopot. Jest to rekonstrukcja autentycznych zdarzeń, tak właśnie oddziały partyzanckie spod Osuch przebiegały się przez pierścień okrążenia.

- Przeżyło nas około dwustu, z tysiąca osób... Tak - zamyślił się Marian Witkowski. - Z tego oddziału, z tej drużyny było nas 16, zostało tylko 8.

- Pan Witkowski był w tej szczęśliwej sytuacji, że znając te bagna, w tej grupie, wiedzieli jak się poruszać w tym terenie przede wszystkim, że dane im było uciec. Ale inni, to nie wiedzieli, jak uciekać - objaśniał Józef Król. - Nie uciekli, wychodzili na drzewa, na sosny, jak najwyżej. Przywiązywali się pasami. Niemcy szli nisko. Pan to potwierdza, tak? - Potwierdzam. - Strzelali seriami po nich. I najwięcej takich zginęło na jodłach na Fryszarce... Po wielu latach spadały z drzew kości i pasy.

- W ostatnim boju było nas 230-u, zginęło 170-u. Leżą o tutaj .... - wskazuje na cmentarz pod lasem Aleksander Chwiejczak, kiedy werble zaczęły oznajmiać składanie wieńców.

Nieśmiało pytam Mużacza: - Wygrał pan bitwę, ale nie wygrał pan wojny?

- Nie wygrałem. Po kilku dniach przychodzi Urząd Bezpieczeństwa i aresztują mnie i przekazują komendantowi wojennemu sowieckiemu i na dwa lata znalazłem się w Związku Radzieckim. - Czy pan to rozumiał wtedy, co się z panem dzieje? Zamiast Pana odznaczyć aresztują pana? - No pewnie, że nie. Był taki niesmak, że dlaczego za to wszystko... no ale zdawałem sobie sprawę, że ja jestem przeciwnikiem ustroju, bo byłem w Armii Krajowej. Nie mieliśmy na to wpływu. To chyba Jałta wszystko już zapieczętowała, a myśmy tylko byli ofiarnymi kozłami. - Nie czuje się pan oszukany? - Nie, bo tak musiało być. Zachód musiał rzucić owce wilkom na pożarcie. I trzeba było się z tym

zgodzić. Tu nie można było muru głową przebić...

- Mój sąsiad Pyter, plutonowy z wojska, cośmy razem mieszkali w tym budynku 1 kwietnia 1945 roku został zastrzelony przez Urząd Bezpieczeństwa... 30 kul w piersiach! Proszę sobie wyobrazić jak do niego strzelali! Chciał obronić rodzinę Bartoszewskich. Oni uciekli, Bartoszevska została, wyskoczyła z wozu, żeby bronić męża, bo mąż kulawy. Noga postrzelona. Koń ranny, tylko jednym koniem uciekli w stronę Czarnego Lasu, tam do Garbców. A Bartoszevska przesiedziała kilka lat w więzieniu, a i Bartoszevski siedział chyba z 5 lat. Ja sam musiałem uciekać przed tą komuną po wyzwoleniu, bo bezpieczeństwo poszukiwało członków Armii Krajowej, tych którzy przeżyli. Byłem na Zachodzie, tam się kryłem. I co było zrobić? - I nie ujawnił się pan nigdy? - Nie, nie miałem z czego. Nie zabiłem nikogo.

-...Proszę państwa w tej chwili dobiega końca składanie wieńców na cmentarzu, widzimy już orkiestrę wojskową, za chwilę będzie koncert i bezpośrednio po koncercie, po paradzie zapraszam tutaj na program artystyczny pt. „I tylko żołnierska piosenka po latach rozśpiewa się w głos”.

Partyzanckie melodie dobiegały nad mogiły ponad 400 - u poległych w bitwie partyzantów. Wszyscy młodzi, bardzo młodzi. Czytam na krzyżach: - miał 19, 20, 21 lat.

Zatrzymuję się nad grobem Zenona Pielachowskiego, pseudonim Dzierżyński urodzonego 9 lipca 1923 roku... w Warszawie... i napis na tablicy: Synu, Ty byłeś słońcem naszych szarych dni. Odszedłeś, pozostawiłeś ból i łzy. Rodzice.

- Lat 21 miał jak zmarł, tylko. Zamiast cieszyć się życiem, tu znalazł swoje miejsce... - skomentował Józef Król. □

*Reportaż jest zapisem wydania i refleksji z 60-tej rocznicy bitwy pod Osuchami w 2004 roku.*





# Wołanie o pamięć

Rozmowa z prof. Rafałem Wnukiem, w latach 2000-2009 kierownikiem Biura Edukacji Publicznej IPN Oddział w Lublinie, obecnie KUL.

**Czesława Borowik:** Płk. Czesław Mużacz „Selim” wyszedł zwycięsko z bitwy, wyprowadził swój oddział z okrążenia, ale dwa lata spędził na Syberii za to, że walczył o wolną Polskę. Zamiast odznaczeń - zsyłka na Sybir. To wielka niesprawiedliwość.

**Prof. Rafał Wnuk:** Rzeczywiście w 1944 i 1945 roku osoby, które brały udział w działaniach na rzecz niepodległego państwa polskiego były internowane i zsyłane pod Ural w głąb Związku Sowieckiego. Ten los spotkał ponad 20 000 żołnierzy AK, działaczy delegatury

źródłem wiedzy przez wiele lat na temat bitwy pod Osuchami była książka lubelskiego prawnika prof. Jerzego Markiewicza „Paprocie zakwitły krwią partyzantów”?

**Prof. R.W.:** Oczywiście dobrze by było, żeby ukazało się szereg innych opracowań na ten temat. Dla historyków mojego pokolenia to jest dobra wiadomość, że mogą coś jeszcze zrobić na tym polu. Myślę, że dzięki Klukowskiemu (lekarzowi ze Szczepieszyna- przyp. Cz.B), wielkiemu miłośnikowi historii, historykowi Armii Krajowej Inspektoratu Zamość, który zebrał szereg



Profesor Rafał Wnuk

zrobiono jednego - nie skonfrontowano tego z dokumentacją niemiecką. A jak długo nie skonfrontujemy tych dwóch źródeł tak długo nie będziemy wiedzieli jakie były faktycznie straty niemieckie, jakie były rzeczywiście siły użyte w walce, jaką Niemcy przywiązywali wagę do całej akcji. Bez tego nie zobiektywizujemy naszego poglądu na te wydarzenia, które miały miejsce w 1944 roku w lasach Puszczy Solskiej, Lasach Janowskich i lasach Roztocza.

**Cz. B.** Upominamy się więc o pamięć o tej bitwie, jak to niektórzy twierdzą, największej polskiej bitwy partyzanckiej i miejmy nadzieję, że doczeka się ona nie tylko popularyzacji w naszym lubelskim regionie, ale przede wszystkim pamięci na kartach historii Polski, podręczników dla szkół:

**Prof. R.W.:** Z pewnością Osuchy, bitwa partyzancka Armii Krajowej z czerwca 1944 roku jest takim wydarzeniem, które powinno zajmować poczesne miejsce w pamięci zbiorowej Polaków. To również miejsce symboliczne z tego powodu, że ten cmentarz partyzancki można porównywać do takich ważnych polskich nekropolii jak nekropolia pod Monte Cassino, czy też Orląt Lwowskich. Ten cmentarz zatopiony w sosnowych lasach Puszczy Solskiej powinien urosnąć do rangi symbolu polskiego wysiłku partyzanckiego z okresu II wojny światowej, bo tak dużych miejsc w Polsce więcej nie ma. □



Pomnik ku pamięci bohaterów w Osuchach

Narodowych Sił Zbrojnych i niebezpiecznych wrogów Związku Radzieckiego. Ci, którzy zostali i postanowili kontynuować walkę, ginęli z rąk polskich, NKWD, pracowników Urzędu Bezpieczeństwa, żołnierzy KBW... spędzali 10 lat w ciężkich warunkach więziennych na Zamku w Lublinie, we Wronkach i tego typu podobnych miejscach.

**Cz.B.** Czy jako historyk należący do młodej generacji nie ma Pan za złe swoim starszym kolegom, że tak naprawdę jedynym

relacji i opublikował na ten temat, chodzi mi o wydany w 1946 roku zbiór relacji dowódców AK Inspektoratu Zamość, bardzo ważne, ciekawe, choć nieco zapomniane źródło; powstało również szereg mniejszych opracowań, które dają nam dużą wiedzę. Natomiast to, czego nie zrobiono, a co powinno być zrobione i za co my historycy powinniśmy naprawdę uderzyć się w piersi to jest to, że posiadając bardzo dużo materiałów proveniencji polskiej czyli dokumenty AK, meldunki, bardzo wiele relacji, nie

Było...

**Animal Party**

3-go maja odbył się na scenie letniej BCK Majowy Festyn Charytatywny na rzecz zwierząt bezdomnych: „Animal Party”. Festyn został zorganizowany przez Oddział Biłgorajski Fundacji EMIR, Biłgorajskie Centrum Kultury i Młodzieżowy Dom Kultury w Biłgoraju.

Fundacja Dla Ratowania Zwierząt Bezdomnych EMIR jest ogólnopolską Organizacją Pożytku Publicznego, której celem działania jest egzekwowanie przepisów ustawy o ochronie zwierząt z 21 sierpnia 1997r. oraz Światowej Deklaracji Praw Zwierząt UNESCO.

**Wiosna z Teatrem na Kresach**

Od 8 do 10 maja w trzech miastach: Janowie, Tomaszowie i Biłgoraju trwała II Wiosna z Teatrem na Kresach. Publiczność obejrzała trzy spektakle: "Filozofia po góralsku" wg Ks. J. Tischnera, Teatr Studio z Warszawy; "John and Mary" Mervyn Jones, Teatr TM z Warszawy; "Kołacja na cztery ręce" Paul Barz, Teatr Alchemii z Krakowa. Główny organizator II Wiosny z Teatrem na Kresach to Fundacja Kresy 2000.

**Nagroda dla poetki**

Halina Ewa Olszewska z Biłgorajskiej Plejady Literackiej BCK zdobyła tytuł Wicemistrza Polski w Poezji w XXVIII Międzynarodowym Konkursie Poezji polskojęzycznej „O złote gęsie pióro” 2009. 3 maja biłgorajska poetka przy dźwięku fanfar odbierała nagrodę z pucharem i dyplomem podczas uroczystości w Pałacu w Białaczowie.

**Nowe boisko przy SP nr 1**

21 maja br., w obecności wicemarszałka województwa lubelskiego otwarto przy Szkole Podstawowej Nr 1 boisko do piłki nożnej, o nawierzchni ze sztucznej trawy. Płyta o wymiarach 32 na 60 m otoczona jest płotem z siatki. Inwestycja zamknęła się w kwocie 875 700 zł, z czego dofinansowanie ze środków zewnętrznych wyniosło 300 tys. zł. ( 200 tys. zł pochodzi od PZU SA i PZU Życie SA, 100 tys. z Funduszu Rozwoju Kultury Fizycznej). Pozostała kwota pochodziła z budżetu Urzędu Miasta

**Markowicze liderem biznesu**

Zakłady Ceramiki Budowlanej Markowicze SA zdobyły statuetkę Wojewódzkiego Lidera Biznesu. Konkurs Wojewódzki Lider Biznesu już od 6 lat organizuje Regionalna Izba Gospodarcza w Lublinie.

Firmy startują w 4 kategoriach - mikroprzedsiębiorstw, przedsiębiorstw małych, średnich i dużych. W tym roku, w kategorii „średnia firma” (czyli zatrudniająca od 50 do 250 pracowników) statuetkę otrzymał Zakład Ceramiki Budowlanej Markowicze SA.

**BITWA POD PANASÓWKĄ**

*“Oj, wy pola Tereszpoła,  
Oj, ty rolo święta ...”*

*W. L. Anczyc “Lelewel”*

**Bitwa pod Panasówką jest jedną z największych, zwycięskich bitew stoczonych przez powstańców styczniowych z wojskiem rosyjskim na Lubelszczyźnie. W marcu 2007 redakcja „Gazety Wyborczej Lublin” rozpoczęła wśród czytelników i internautów plebiscyt na najważniejsze wydarzenia Lubelszczyzny. Spośród kilkuset propozycji wybrano 15, w tym właśnie „Bitwę pod Panasówką”.**

Miejsce bitwy wyglądało wówczas troszeczkę inaczej niż dzisiaj - u podnóża wzniesienia znajdował się folwark Poręby - dwór z zabudowaniami gospodarczymi. Przy skrzyżowaniu do dziś stojąca karczma i po drugiej stronie drogi zabudowania leśnictwa Panasówka. Na górze znajdowała się duża, stara pasieka, z drzewkami owocowymi, ogrodzona starym murem. Las niewiele się zmienił - ciągnął się wzdłuż drogi - jak biegnie dziś aleja bukowa.

Oddziały powstańcze przybyły do folwarku około południa. Były to połączone tego dnia rano oddziały płk. „Lelewela” Marcina Borelowskiego i płk. „Ćwieka” Kajetana Cieszkowskiego.

Oddział „Lelewela” formował się w Galicji i miał stanowić prawe skrzydło dużej wyprawy pod dowództwem gen. Aleksandra Waligórskiego. Granicę oddział przekroczył w nocy z 25 na 26 sierpnia 1863 r. w kilku punktach. Oddział ten składał się wówczas z 520 strzelców, 40 kosynierów i 150 żołnierzy kawalerii. Oddziałem dowodził legendarny już wtedy płk „Lelewel” - taki pseudonim przybrał na początku powstania na cześć ulubionego historyka - Marcina Borelowski.

Drugi oddział powstańczy był już w walkach i marszach od kilku miesięcy - nosił oficjalną nazwę Piątego Oddziału Województwa Lubelskiego, ale popularnie nazywano ich „Ćwiekami”. Naczelnikiem oddziału był Kajetan Cieszkowski, zaś szefem sztabu mjr Walery Kozłowski, który faktycznie dowodził oddziałem. Znajdowała się w nim część powstańców z rozbitego od-

**Tomasz Brytan**

pasjonat historii, regionalista, autor publikacji na temat historii naszego regionu



działu płk. Dionizego Czachowskiego, których nazywano w oddziale Czachowszczykami. Oddział liczył około 500 powstańców i składał się z piechoty, w tym kompanii żuawów oraz kawalerii.

Oddział „Ćwieka” przeprawił się przez Wisłę pod Puławami i wzdłuż zachodniej granicy kierował się na południe. Na wieść o przybyciu oddziału „Ćwieka”, płk. Miednikow wysłał z Janowa mjr. Sztenberga na czele m. in. 5 rot piechoty.

„Ćwieki” przez Momoty, Bukowę dotarli pod Biłgoraj, do wsi Bojary dnia 2 września koło południa. Zaś oddział rosyjski Sztenberga dotarł do Biłgoraja tego samego dnia o godzinie 18-tej. Doszło do walki. Oddział „Ćwieka” ostrzeliwując wroga wycofywał się do lasu. Rosjanie atakowali od strony miasta wzdłuż dzisiejszej ulicy Moniuszki. W międzyczasie na łąki pod miastem wyjechał rekonesans z oddziału Lelewela i zamarkował atak na tył pozycji wojsk carskich, co umożliwiło oddziałowi Ćwieka wycofanie się bez strat do lasu. Oddział carski wycofał się do miasta i tam przenocował. Rano podjął ślad za oddziałem Ćwieka, który około godziny 9-tej połączył się z oddziałem Lelewela.

Powstańcy rozłożyli się obozem opodal folwarku Poręby. Polecono gotować mięso i krupy. Oddział „Ćwieka” od dwóch dni żywił się tylko chlebem i wódką. Około godziny 16-tej kilku żydów przybyło do obozu z wiadomością, że oddział który wczoraj ścierał się pod Biłgorajem, ciągnie z tego miasta i znajduje się o kwadrans drogi stąd.

Po piątej po południu padły pierwsze strzały i Rosjanie zaatakowali powstańców od frontu, ciągnąc od Tereszpoła i zachodząc swoim lewym skrzydłem ku Panasówce. Bój rozpoczęty został ostrzałem artylerii i wysunięciem na lewo nasze skrzydło kozaków, a na środek gęstych szeregów tyralierów. Mjr Sztenberg, Fin, dowodzący wojskami carskimi pod Panasówką, nie zdawał sobie do końca sprawy z liczebności oddziałów powstańczych, których znaczna część została ukryta w lesie za wzgórzem. W sumie po połączeniu obu oddziałów powstańcy byli w liczbie ok. 1200 osób, zaś wojska carskie liczyły ok. 1800 żołnierzy.

Była mniej więcej godzina 18-ta. Część naszej kawalerii ruszyła



Joachim Borelowski „Lelewel” - dowódca bitwy

wzdłuż lasu, a część miała działać na oskrzydlenie kozaków. W pół drogi spostrzeżono, że poza kolumną kozaków, Moskale gęsto ukryli w kartoflach swoich tyralierów.

Tymczasem w środku toczył się bój z całą zaciętością. Zuchwałe ataki Rosjan odpierały 2 i 3 kompania z oddziału „Lelewela”.

Por. Niwierow ze straży pogranicznej otrzymał rozkaz, by atakować folwark Poręby i wyprzeć stamtąd powstańców. W czasie walki przy folwarku zostały podpalone przez kozaków jego zabudowania.

Od tej chwili bitwa toczyła się już regularnie na czystym polu. Ze strony wojsk carskich wprowadzenie

piechoty w bój i skierowanie ku strzelcom artylerii dało możliwość ponownego ataku kawalerii na kozaków.

Część rozbitych kozaków rzuciła się w prawo ku swojej piechocie, a część odcięta na lewo osłupiała z przerażenia. Na tą część kawaleria powstańcza wywarła swój atak, rzucając się z pałaszami na wystawione piki. Rozpoczęła się walka krwawa.

W międzyczasie strzelcy z lewego skrzydła zostali na chwilę wyparci, chwila była krytyczna, gdyż zamieszanie to spowodowane było tym, że mjr Nyari, dowodzący od początku bitwy lewym skrzydłem piechoty, padł ciężko ranny, ugodzony dwoma kulami. Natychmiast dowodzący całą piechotą ppłk. Grudziński podskoczył ku cofającej się piechocie i z energią wprowadził ją znowu na linię, a kpt. Skłodowski wraz z kpt. Stępnickim przyprowadzili część rezerw. Środkiem piechoty dowodził kpt. Wiesław Tomicki, zaś prawym skrzydłem piechoty mjr Kozłowski z oddziału „Ćwieka”.

Od tej chwili nie oglądali się już na siebie. „Naprzód i naprzód!” - rozległ się jeden okrzyk na całej linii, ostatki powstańczych rezerw domagały się wprowadzenia do boju, a konna formowała się na nowo. Wystraszeni Rosjanie, ochłonawszy, podsunęli swoje działa wzdłuż linii powstańczych i ogniem kartaczowym razić zaczęli powstańczych tyralierów. Polska kawaleria odebrała rozkaz uderzenia na armaty. Bez namysłu przeredzone jej szeregi rzuciły się na działa - atak był tak gwałtowny i szalony, że po spędzeniu armat w najszybszym popłochu, ułani nasi przedostali się przez całą pozycję bojową wojsk carskich i dotarli aż do ich rezerw.

Zmrok zapadł już na placu boju, a walka piechoty nie ustawała ani na chwilę. Kosynierzy odebrali wówczas rozkaz do ataku. Ściśnięci w kolumnie, w liczbie 40, wysunęli się z za góry i na oczach nieprzyjaciela pod ogniem działowym i rotowym piechoty, na końcu swoich kos zatykali i zapalali race. Niestety odległość od nieprzyjaciela była dość daleka i za wcześnie zapalone race pogasły, kolumna kosynierów wstrzymała się w pół drogi i pod zwiększonym ogniem znowu dostarczone im race zatknęła na końcu swoich kos, zapalając je

siarnikami. Rosjanie ze zdumieniem przyglądali się tej operacji.

- Bój tyralierski trwał jednak nadal, a przez cały czas trwania bitwy płonęły zabudowania folwarczne Panasówki. Strzelcy nasi posuwali się krok za krokiem na przód. Żołnierze Carscy opuszczali powoli swoje stanowisko. Około godz. 22-iej, zapędu powstańców powstrzymać już nie można było; cała linia bojowa powstańców jednoznacznym biegiem ruszyła naprzód, „hurra” rozległo się wszędzie, jak gdyby z jednej wychodziło piersi - wspomina kilka dni po bitwie kpt. Skłodowski - bagnet miał bój zakończyć, ale Moskwa nie próbowała raz jeszcze stawiać oporu i w nieładzie ratowała się ucieczką, ścigana aż do lasu przez naszą piechotę. Ciemno już było, żołnierz strudzony, spełniwszy bohaterski swój obowiązek w boju, spełniał na pobojoisku poważny obowiązek koleżeństwa, zbierając rannych swych towarzyszy dotąd nieopatrzonych, i znosząc ich do ambulansów znajdujących się na drodze do Zwierzyńca.

Straty powstańcze w samej bitwie wyniosły 35 zabitych i ok. 130 rannych, z których 17 zmarło następnego dnia w Zwierzyńcu - zostali pochowani razem we wspólnej mogile. W kolejnych dniach umierali z ran powstańcy w Zwierzyńcu, a także w szpitalu w Szczecbrzeszynie.

Rosjanie wynieśli z pola walki swoich rannych i poległych żołnierzy. Straty swoje podali w oficjalnym piśmie sztabu wojska, że żołnierzy rosyjskich poległo 6, rannych zostało 44, zaś 23 było kontuzjowanych, a 1 wzięty do niewoli lub przepadł bez wieści. Do niewoli Rosjanie wzięli 2 powstańców.

Powstańcy powracając z pobojo-wiska, okrzykami radości i uwielbienia witali wodza, który wśród krwawej walki nie odstępował ich na chwilę, który zachęcał ich własnym przykładem, był wszędzie przytomnym i wskazywał każdemu z surową powagą jego obowiązek. Na twarzy Lelewela błyszczały się łzy wdzięczności i wyraz dumy, iż w dniu tym przewodził takiemu hufcowi. □

*Od Redakcji: 7 września po raz trzeci na Wzgórzu Polak (Panasówka) „Przypomnienie pola bitwy 1863r: żywym obrazem, słowem i dźwiękiem” Fundacji Kresy 2000*

## Waldemar Rataj



prawnik, politolog, ekspert d/s zarządzania w administracji i instytucjach publicznych; specjalizuje się w zarządzaniu kulturą i komunikacją społeczną;

prezes Fundacji Przestrzeni Obywatelskiej Pro Publico Bono; współtwórca wielu programów i instytucji społeczeństwa obywatelskiego

# Kultura solidarności szansą na odnowienie samorządności obywatelskiej Część I

**Karta Solidarności, która z inicjatywy Fundacji Przestrzeni Obywatelskiej Pro Publico Bono została proklamowana i podpisana uroczyście 10 czerwca w Krakowie, powinna stać się przykładem takiego działania społecznego, które otwiera możliwości praktycznego krzewienia dziedzictwa Jana Pawła II.**

Jest to instytucja życia społecznego, która ma na celu wprowadzenie w życie takich programów, instrumentów i metod zarządzania sprawami społecznymi oraz polityką rozwoju regionalnego, w ramach których postulowany przez Papieża ideał etyki solidarności przestanie być postrzegany wyłącznie jako odległa od codziennego życia deklaracja światopoglądowa, a znacznie być traktowany jako autentyczne zobowiązanie i praktyczny system wartości oraz norm postępowania. Celem ustanowienia Karty Solidarności jest także potrzeba uwzględnienia naturalnego czynnika ludzkiej empatii w działaniach z zakresu organizacji i zarządzania sprawami publicznymi.

Nasze rozważania o polskim dziedzictwie solidarności należy bowiem zacząć od roku 1979, od pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski. Stawiam tezę, że to właśnie wtedy ruszyła polska historia narodowa. Wtedy, w czerwcu, podczas spotkań z pielgrzymującym po kraju Papieżem stworzyła się szansa na autentyczne doświadczanie przez Polaków wolności, na poczucie smaku tego zakazanego przez komunistów owocu. Jan Paweł II dał się wówczas poznać jako przewodnik powoływanej na nowo do istnienia narodowej wspólnoty, nad którą, z ogromnym wyczuciem konstruowanej świadomie sytuacji politycznej, starał się rozciągać swój parasol ochronny. To spowodowało, że w tych dniach, właśnie wokół jego osoby ludzie zaczęli się gromadzić, ale - co ważne - nie w postaci rozgoryczonej, zrozpaczonej i rozżalanej masy. Papież wyzwolił w Polakach, na niespotykaną i nieznaną nam dotąd skalę pragnienie dobra, i ogromną potrzebę świadczenia sobie nawzajem dobroci. Tak odczuwane w wymiarze społecznym uczucie połączone z manifestowaną

zwłaszcza za pośrednictwem samego Papieża narodową tożsamością i duchową wolnością Polaków, było przyczyną narodzin Solidarności, jedynego w swoim rodzaju zespolenia uczuć i instynktu samoorganizacji na rzecz odrodzenia Rzeczypospolitej, a więc narodowej i samorządnej wspólnoty obywatelskiej. Ujawniające się w tych dniach spotkań z Janem Pawłem II pragnienie wolności znalazło po raz pierwszy w życiu tego, wyrosłego już w czasach komunizmu pokolenia możliwość zmanifestowania, że jest się w istocie kimś innym, niż wmawiała to Polakom komunistyczna władza, poprzez swoją propagandę, poprzez zakłamywanie życia społecznego, poprzez parodię przeżywania zbiorowych uniesień przy okazji tzw. „świąt państwowych i partyjnych”, a wreszcie poprzez zabijanie ducha troski o dobro wspólne za pomocą kreowanych pod dyktando partyjnego i państwowego aparatu czynów społecznych.

Dlatego to wspólne doświadczenie wolności, ta papieska lekcja, że nie ma wolności bez prawdy, otworzyły oczy i serca Polaków do wspólnego odczuwania bycia narodem - w swoich dziejach i w swym poczuciu godności każdej osoby ludzkiej i co najistotniejsze do potrzeby urzeczywistnienia sprawiedliwych i samorządnych stosunków w życiu społecznym. Poprzez obecność Jana Pawła II w Polsce w 1979 roku przez chwilę dało się słyszeć inny język, można było się dowiedzieć, kim jesteśmy, jako naród. Papież zdarł wtedy kurtynę kłamstwa, za którą władze komunistycznego państwa próbowały stworzyć swój własny, „lepszy świat”. Trzeba pamiętać, że bezpośrednim powodem tej pielgrzymki była 900 rocznica męczeńskiej śmierci św. Stanisława ze Szczepanowa. Ten fakt wprost uruchamiał potrzebę upo-

mnienia się o prawdę, o sprawiedliwość, o prawa człowieka. Oto także dlatego, ten religijny i społeczno-moralny motyw spotkania z rodakami na ojczystej ziemi, stał się naturalną okazją do odzyskania narodowej samoświadomości i rozbudzenia ducha moralnej, wspólnotowej, prosolidarnościowej w swej istocie rewolucji.

Tak, jak pierwsza papieska pielgrzymka do Ojczyzny stała się aktem pierwszym i decydującym o naszym wyzwoleniu, tak wydarzeniem, które miało w tej historii znaczenie kulminacyjne było spotkanie na krakowskich Błoniach, 10 czerwca 1979 roku. Błonia wcale nie są tu jakimś specjalnym wyróżnieniem Krakowa. Spotkanie tam w oczywisty sposób nawiązywało do tradycji zgromadzeń patriotycznych, które odbywały się w tym miejscu także w przeszłości. Jan Paweł II jako wybitny organizator naszej zbiorowej świadomości, a w pewnej mierze i życia zbiorowego, wpisał się w tradycję królewskiego miasta, które bez wątpienia wciąż pozostaje depozytariuszem tradycji i historii Polski. Spotkanie to sam Jan Paweł II nazwał „bierzmowaniem dziejów”. W chrześcijaństwie bierzmowanie oznacza zdolność bycia dojrzałym, możliwość, a w zasadzie konieczność przyjęcia na siebie - odpowiedzialności za Kościół. W życiu wspólnoty narodowej może oznaczać ono dojrzałość do podjęcia odpowiedzialności za losy państwa, poprzez obywatelską troskę i zaangażowanie w sprawy publiczne. Jan Paweł II wpisał tym gestem Polaków i Polskę - A.D. 1979 - w logikę historii, którą przywoływał niemal na każdym miejscu swego pielgrzymowania.

Świadectwa tej nowej, rodzącej się w tych dniach historii, a nade wszystko narodzin autentycznej „kultury solidarności”, dają zwłaszcza zachodni obserwatorzy tam-

tych wydarzeń. O ile jeszcze przedstawiony w znakomitej książce George'a Weigla „Ostateczna rewolucja”, związek wydarzeń tej pierwszej pielgrzymki z wydarzeniami z roku 1980, 1981 a następnie roku 1989, mógłby być uznany za stroniczą interpretację teologa i zdeklarowanego religijnie papisty, to już takiego zarzutu nie da się postawić wobec Tymoty'ego Gartona Asha. W książce „Solidarność. 1980-1981” tak zaobserwował on fenomen pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski: „Równie ważne jak owo triumfalne wystąpienie wspólnych wartości było doświadczane powszechnie poczucie -nie ma na to lepszego słowa - solidarności. Milicja zniknęła z ulic, ochotnicza Straż Papieża utrzymywała idealny porządek. Mimo upału i ścisku, nie doszło w tym wielkim tłumie do żadnych scen brutalnych. Zniknęli także pijacy, powszechnie i dobrowolnie przestrzegano zakazu picia alkoholu. Na krakowskich Błoniach prawie dwa miliony ludzi stały razem, klaskały, śpiewały wspólnie dawne pieśni religijne bądź słuchały w milczeniu. Owa intensywna jedność myśli i uczuć, która dawniej nie wykroczyła poza mały krąg przyjacielski, poza intymną solidarność prywatnego życia we Wschodniej Europie nagle została pomnożona przez miliony. Przez dziewięć dni państwo przestało jakby istnieć, działało jedynie jako cenzor zniekształcający transmisje telewizyjne. Dla świata stało się jasne, że Polska nie jest krajem komunistycznym, lecz zaledwie komunistycznym państwem”.

Solidarność Polaków w tym czasie nie była tylko jednorazowym, zbiorowym wyzwoleniem uczuć ludzi na co dzień upokorzonych i udreńczonych codziennością realnego socjalizmu. To wszystko przemieniło się w jakiś odruch, a potem w regularność zachowań pozwalających tworzyć alternatywną względem komunistycznego państwa wspólnotę obywateli. W taki sposób, w warunkach totalitarnego zniewolenia Jan Paweł II uczył swoich rodaków jak stosować w praktyce Chrystusową etykę miłości bliźniego. Takie było doświadczenie pierwszej i następnych papieskich pielgrzymek do ojczyzny. Tak oto, w łączności i pod przewodnictwem papieża, odnawiała się

nasza kultura solidarności.

Solidarność i kultura solidarności wyznaczyła rozwój naszego życia publicznego w historii Polski poprzez wydarzenia, jakie miały nastąpić w ciągu dwóch lat, bezpośrednio po tej pielgrzymce. Przez kilkanaście miesięcy, między lipcem a sierpniem 1980 roku, a potem przez niemal cały rok 1981, w wyniku akcji strajkowych podjętych na niespotykaną dotąd w żadnym znajdującym się pod panowaniem sowieckim kraju, poprzez solidarne współdziałanie robotników, inteligencji, rolników, kombatanów - żołnierzy Armii Krajowej, a także młodzieży, przy trudnym do przecenienia udziale Kościoła, doszło do stworzenia podstaw społeczeństwa obywatelskiego,



które wykazało imponujący instynkt do samoorganizacji i samorządności. Imperatyw solidarności, wyrażony przez ks. Tischnera za św. Pawłem „jedni, drugich brzemiona noście”, stał się w okresie Pierwszej Solidarności autentyczną normą konstytuującą wspólnotę obywatelską Polaków. Robotnicy zakładów przemysłowych podejmowali wtedy akcje strajkowe i upominali się o warunki pracy i płacy nauczycieli, lekarzy i pielęgniarek. Stan kultury etycznej tych grup zawodowych determinował, bowiem ich postawę, w myśl, której podejmowane we własnym interesie działania nie mogły wywoływać skutków negatywnych wobec osób słabszych, chorych, względem dzieci i młodzieży. Ta wrażliwość na dobro drugiego człowieka i odpowiedzialność za dobro wspólne jakim jest Polska,

łącząca chrześcijański ideał miłości z etyczną tradycją obywatelstwa Dawnej Rzeczypospolitej skłoniła Jerzego Stepię, wnikliwego badacza polskich tradycji ustrojowych, ale i aktywnego uczestnika tamtych wydarzeń, do wpisania Solidarności w tradycję naszych konfederacji (por. Jerzy Stepię, „Solidarność” jako ostatnia konfederacja - [www.cinfo.org.pl](http://www.cinfo.org.pl)).

Obecnie, po trzydziestu latach od tamtych wydarzeń, w dwudziestą rocznicę odrodzenia niepodległej Rzeczypospolitej, powołujemy do istnienia instytucję społeczną, która przyjmując nazwę: Karta Solidarności, ma być instrumentem rozwoju obywatelskiej samorządności, ma tworzyć warunki dla wzmocnienia potencjału solidarności i ma służyć krzewieniu tych wartości i wzorców postępowania, które w duchu nauczania i świadectwa życia Jana Pawła II tworzą w społeczeństwie kulturę solidarności.

Karta Solidarności jest mocno zakotwiczona w wyrażonym wcześniej przekonaniu, że momentem przełomowym naszej najnowszej historii jest wybór kardynała Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową, a zwłaszcza jego pierwsza pielgrzymka do Polski w 1979 roku. Lata 1980 i 81, a wreszcie rok 1989 - były już tylko konsekwencją tego co wydarzyło się podczas spotkania z Ojcem Świętym w czerwcu 1979 roku. Jan Paweł II podał Polakom swego rodzaju kod postępowania, do którego mogli się odwoływać szczególnie w trudnym okresie stanu wojennego. W historii odnawiania się naszej narodowej i obywatelskiej wspólnoty miało miejsce jeszcze jedno zdarzenie; zabójstwo ks. Jerzego Popiełuszki. Ten mord, którego dwudziestą piątą rocznicę obchodzimy w tym roku, ofiarą z życia kapłana i duchowego przywódcy Solidarności przypięczętował i potwierdził żywotność zarówno Solidarności, jak i obecnej w narodzie kultury solidarności. Świadectwem tego może być zwłaszcza to, w jaki sposób Polacy przeżywali ten dramatyczny czas narodowych rekolacji; czas pogrzebu, a także procesu zabójców księdza Jerzego. □

**Wiesław Myśliwski**

autor powieści, dramaturg i publicysta. Dwukrotny laureat najbardziej prestiżowej Literackiej Nagrody NIKE za „Widnokrąg” i „Traktat o łuskaniu fasoli”. Dzieła jego są tłumaczone na wiele języków. Ekranizacji i realizacji teatralnych jego utworów podejmowali się tacy twórcy jak m.in.: Ryszard Ber, Wojciech Marczewski, Tadeusz Junak, Kazimierz Dejmek, Izabella Cywińska, Bogdan Tosza, Stefan Szmidt.

Jest pisarzem kreującym wizję chłopskiego losu i tradycyjnej wspólnoty wiejskiej w perspektywie uniwersalnych prawd o świecie i człowieku.

Szczególnie znaną temu losowi nadawała wielowiekowa historia samotności, wieki niewoli i niedoli, cierpienia milczenia, izolacji od narodu i państwa. Z konieczności skazywało to chłopów na samodzielność i samowystarczalność kulturową, na wypracowanie w codzienności i powtarzalności tak zdeterminowanego bytu własnych form egzystencji, własnych obrzędów, rytuałów i zasad istnienia, własnego odczuwania czasu i własnego postrzegania przestrzeni, słowem, własnego wewnętrznego świata i stosunku do świata na zewnątrz. Toteż wyłania się z tej kultury wielkie człowiecze uniwersum, a nie folklor, jakby niektórzy chcieli.

Paradoksalnie sprzyjało temu także i to, że dość długo chłopci nie uczestniczyli w historii. Historia na ogół wdzierła się w ich bytowanie jako dopust Boży, byli wydani na pastwę historii bez jakichkolwiek możliwości wpływania na jej bieg. Nie mając poczucia uczestnictwa w historii, nie mieli też poczucia winy - jak Jerzy Pietrkiewicz powiedział - na przykład za upadek Polski, co tak doskwierało świadomości inteligentnej i było przyczyną jej uczulenia na sprawę narodową w konsekwencji stając się dotkliwym uczuleniem polskiej literatury i sztuki polskiej w ogóle.

Świadomość narodowa chłopów - jeśli założyć, że wiemy, co to pojęcie znaczy - jest bardzo późnym zjawiskiem. Zanim się chłopci dobili owej świadomej przynależności do narodu, wiedzieli na ogół, że są chrześcijańscy, że przynależą do Boga czy do cara, a najczęściej do własnej wsi i parafii. Aczkolwiek moim zdaniem - tak na marginesie -

## Kres kultury chłopskiej

### II. Doświadczenie fundamentem kultury chłopskiej

**Aby nie było nieporozumień - między tzw. kulturą ludową a kulturą chłopską nie ma żadnej równoważności. To po prostu zupełnie inne plany. Pierwsza to tylko uzawodowiony, uprzemysłowiony folklor czy nawet postfolklor. A druga? Powtórzę, co też już kiedyś powiedziałem! Chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los; ów los, w którym skumulowała się pełnia doświadczenia ludzkiego, i jednostkowego, i zbiorowego, był fundamentem tej kultury.**

w dużej mierze to dzięki chłopom Polska przetrwała. Dzięki ich przywiązaniu do ziemi, do języka, do wiary. Na tych trzech bowiem fundamentach zasadzało się chłopskie trwanie tu i zawsze, z dziada pradiada, niezależnie czy Polska była matką, czy macochą, czy w ogóle była. I niezależnie, co się o niej wiedziało i co się do niej czuło.

Z natury więc rzeczy kultura chłopska była kulturą bytu i kulturą miejsca, zamkniętą w kręgu: człowiek - ziemia - przyroda. Motywacją istnienia było jedynie trwanie i przetrwanie. Czas liczył się rodzajem prac, porami roku, świętami i następstwem pokoleń. Przestrzeń fizyczna ograniczała się do własnego obejścia, własnej wsi,

parafii i najbliższego miasteczka. Nie znaczy to, że chłopci nie wędrowali, lecz przeważnie, gdy wcielano ich do takich czy innych armii, niekiedy za wolnością, dużo częściej jednak za chlebem, choć zdarzało się, że nawet do Ziemi Świętej. Chłopskie relacje, ustne czy zapisane, z tych wypraw w świat są przejmujące, i nie tylko ze względu na niezwykłość okoliczności, które nieraz tym wyprawom towarzyszyły, lecz przede wszystkim ze względu na opisy tego świata i jego percepcję przez ludzi, którzy od pokoleń nie opuszczali swoich gniazd. Wielka szkoda, że jak dotąd nikt nie podjął tematu owych chłopskich odyssey.

Generalnie żyli jednak chłopci w tym samym miejscu z dziada



*Czas liczył się rodzajem prac, porami roku, świętami i następstwem pokoleń.*

pradziada, pod tym samym niebem, z przymusu czy dobrowolnego przywiązania, wrośnięci głęboko korzeniami w swój pożałowania godny byt, dziedziczony i przekazywany dalej, w tę skąpą przestrzeń dookólnego krajobrazu, poza którą rozciągał się ledwo domniemany świat, świat niepewny, budzący lęk, lecz zarazem podniecający wyobraźnię. Ów nieznan świat jako przeciwwaga zamkniętej, ograniczonej przestrzeni istnienia to częsty motyw chłopskich narracji, nasyconych nierzadko fantastycznościami czy wręcz cudownościami.

Trwałość miejsca, gdzie spełniało się ludzkie życie od urodzenia do śmierci, miejsca udeptanego przez pokolenia i strzeżonego pamięcią pokoleń, to jeden z podstawowych znaków chłopskiej kultury. Objawia się on na wiele sposobów. Powołam się na przykład najbardziej znany. Przywiązanie do ziemi. Wynikało ono naturalnie z tego, że ziemia żywiła. Lecz nadbudowana nad nią sfera emocjonalna i refleksyjna ułożyła się w swoistą teologię ziemi, nadając jej wymiar sacrum. Ziemia decydowała o integralności życia, tak sfery materialnej jak duchowej, tak doświadczeń jak wyobrażeń, tak jawy jak snu. Ziemia była probierzem charakteru jednostki jako człowieka, jako gospodarza, jako sąsiada. Określała stosunki w rodzinie, determinowała uczucia i wychowanie. Tworzyła opinię, hierarchie i autorytety. Poddawała swojemu porządkowi czas, wyznaczała rytm ludzkiego życia. Kreowała zwyczaje, obyczaje, przekonania i przesady. Odciskała piętno na chłopskiej eschatologii. Stanowiła metrum moralne chłopskiego świata. Tylko ziemia cię nie zdradzi, mawiał mój dziadek.

Bo też odwrotnie proporcjonalnie do skąpej przestrzeni chłopskiego bytu miała się przestrzeń metafizyczna chłopskiej kultury. Ta przestrzeń była ogromna. W tę przestrzeń - jak już wspomniałem - wpisane było całe ludzkie uniwersum, pełnia relacji człowiek - człowiek, człowiek - zbiorowość, człowiek - świat - wszechświat - zaświat. Nacechowana niewyobrażalną cierpliwością istnienia, właśnie w sferze metafizycznej kultura chłopska odnajdywała niezwykle bogactwo zadośćuczynień i pocieszeń. Była to kultura zgody z losem, afirmująca życie takie, jakie przy-



*Chłop nie wiedział, jaki jest jego folklor, wiedział, jaki jest jego los*

padło człowiekowi w udziale, odpowiadająca na pytanie, jak żyć, kiedy żyć się często nie dawało, jak odnaleźć pył swojego istnienia w chaosie wszechrzeczy, jak przemijać z pokorą. Miała swoje wyobrażenie zła i dobra, kary i nagrody, swoje wyobrażenie wieczności i wyobrażenie Boga. Chrystus Frasobliwy, to arcydzieło polskiej sztuki przestrzennej, jest przeciw chłopskiej proweniencji. To Bóg z chłopskiej doli, zatroskany jak chłop, biedny jak chłop i bezradny jak chłop. Synteza losu, nie tylko rzeźbiarska forma. Kto ją pierwszy wyrzeźbił, składał Bogu w ofierze swoje poniżenie, swoją nadzieję. Bo tak traktowana była sztuka w chłopskiej kulturze - jako ofiara. Dopóki nie została utowarowiona przez ludowość.

Świadomości sztuki jako sztuki ta kultura nie miała. Wszystko było czynione z myślą o pożytku, więc i sztuka. Pożytek był pierwszą zasadą każdego ludzkiego działania. Była to kultura gospodarska, lecz zarazem gospodarna. Nie zmarnował się w niej żaden sen, żadna przestroga, żadne przeczucie. Wszystko coś znaczyło dla człowieka. Mimo przesycenia tragicznością, z namszczeniem traktowała dar istnienia.

Doświadczenie było fundamentem tej kultury, doświadczenie - jeśli można tak powiedzieć - pionowe, to znaczy pokoleń, i poziome, to znaczy wspólnoty, wśród której człowiek mieszkał. Było to nade wszystko doświadczenie dotkliwości bytu i w tym planie można bez przesady mówić o

egzystencjalnej pełni. Nie zabrakło bowiem w tym doświadczeniu niczego, co człowieka jako jednostkę i jako zbiorowość mogło spotkać na tym świecie. Z owego doświadczenia wyrastał cały system filozoficzny tej kultury, który przenikał zarówno ludzkie zachowania jak i pieśni praktyczną czy wręcz użytkową mądrością, ale też mądrością uogólnień, ocen i sądów. Stworzył on bez mała poradnik zaradności w każdej potrzebie, ale też zbiór zasad, według których powinien człowiek postępować. Ta mądrość przejawia się w humorze i ironii, przesycających chłopskie formy radości i zabawy, weselne obrzędy, chłopską erotykę, chłopskie przyśpiewki, zalecanki itd.

Ta mądrość przejawia się zresztą na wiele sposobów. Dam konkretny przykład. Przysłowia. Kiedy czyta się księgę chłopskich przysłów, rzuca się w oczy, jak wiele z nich przeczy sobie, wyklucza się wzajemnie, wręcz gotowi jesteśmy dojść do wniosku, że rządzą nimi absurd, bezsens, jeśli nie poczucie ironii. Lecz jak dowodzi znany pisarz czeski, Karel Čapek, w eseju zatytułowanym "O przysłowiach, czyli o mądrości ludowej". Owa mądrość nie zawiera się wcale w treści przysłów, lecz w tym, aby w każdej sytuacji człowiek mógł znaleźć odpowiedź na dręczącą go wątpliwość czy bezradność, aprobatę dla swojego wyboru czy zamiaru. Słowem, wiedza przysłów to wiedza intencjonalna, a więc pocieszycielska. □



Dorota Skakuj

regionalistka, pasjonatka historii, autorka publikacji o tematyce związanej z historią i tradycjami Ziemi Biłgorajskiej

Cmentarz położony jest 50 m. na północ od ulicy Lubelskiej, na wyniesieniu otoczonym przez mokradła. Według Michała Pękałskiego tradycja wiązała to miejsce z jakimś średniowiecznym grodziskiem, nie jest to jednak udokumentowane archeologicznie. Na cmentarz prowadzi niska grobla.

Początkowo zmarli z biłgorajskiej parafii, która powstała na początku XVII wieku, byli grzebani na cmentarzu przykościelnym. Za miasto biłgorajski cmentarz grzebalny został przeniesiony najprawdopodobniej pod koniec XVIII wieku.

Na cmentarzu w zasadzie są więc pochowani wszyscy dawni mieszkańcy Biłgoraja i okolicy wyznania katolickiego, chociażby sitarze, jak np. Książkowie, Malawscy, Grabińscy, Kłoskowie itd.

Cmentarz był użytkowany do czasu zapewnienia i założenia nowego cmentarza w latach 1874-1877. Z powodu przepelnienia od końca XIX w. nie był użytkowany, jednak ostatnie pochówki miały tam miejsce w latach II wojny światowej. Cmentarz prawnie zamknięto dopiero w 1959 r., zaś w 1970 roku wydano decyzję o jego likwidacji. Decyzji tej jednak nie wykonano, natomiast w 1977 roku cmentarz objęto ochroną prawną poprzez wpis do rejestru zabytków (Rej. zab.: A/173 z 1977 r.)

W ostatnich latach cmentarz został bardzo zniszczony. Upływ czasu oraz fakt, że cmentarz był nieużytkowany powodował, że u wielu mieszkańców zatarła się nawet świadomość, że jest to cmentarz katolicki, a niejednokrotnie można było usłyszeć od mieszkańców, że to cmentarz żydowski kirkut! I to pomimo faktu, że na cmentarzu były jeszcze fragmenty pomników i krzyży nagrobnych. Dla niektórych był to po prostu opuszczony teren, co powodowało, że były tam nawet wypasane krowy i wycinane drzewa.

W 1980 r. cmentarz przezna-

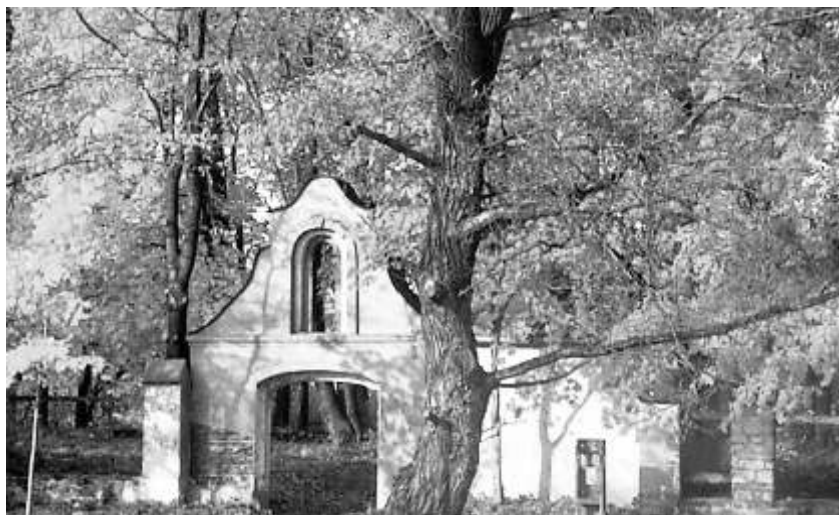
## Lapidarium kiedyś

Jeszcze tego lata mają rozpocząć się ponowne pochówki na nieczynnym do tej pory starym cmentarzu rzymskokatolickim zwanym „lapidarium”. Intensywne prace trwają, a teren ten ma „zabezpieczyć” miejsce na pochówki na następne kilkanaście lat. Warto więc pokrótce przypomnieć, skąd wzięła się ta nazwa.

czono na lapidarium sztuki sepulkralnej (cmentarnej). Celem miało być gromadzenie z terenu południowej Lubelszczyzny nagrobków i pomników zagrożonych zniszczeniem z cmentarzy zamkniętych, opuszczonych lub likwidowanych. Brak środków finansowych nie pozwolił jednak na sfinalizowanie projektu. Udało się jedynie opracować program zagospodarowania. Lapidarium

zadbać, w zasadzie zapadły się. W ostatnich latach był już praktycznie całkowicie zdewastowany.

Decyzja o przywróceniu pochówków na zamkniętym cmentarzu, połączona jednak -było nie było - z rekultywacją terenu, musi budzić mieszane uczucia. Z jednej strony to dobrze, ponieważ w ten sposób teren ten nie będzie dalej profanowany, a ludzie będą mieli możliwość po-



Lapidarium przy ul. Lubelskiej (przed remontem)

rium miało znaleźć się w gestii biłgorajskiego muzeum. W kolejnych latach zrekonstruowano jedynie domek grabarza (1987) i wykonano ogrodzenie - drewniany płot sztachetowy na kamiennych słupach i podmurowaniu, zrekonstruowany na wzór ogrodzenia z pocz. XIX wieku. On także został zniszczony dość szybko, nie tylko z tzw. przyczyn naturalnych, ale także z powodu, że jacyś wandyli wykorzystywali sztachety na ogniska rozpalane na cmentarzu, co było równoznaczne z dalszą dewastacją i co za tym idzie profanacją cmentarza. Niszczono także same grobowce i pomniki - zniknął z północnej części cmentarza np. metalowy pomnik. Wydierano też tablice nagrobne, zastanawia tylko, po co to komu? Cmentarz zarastał chwastami i krzakami a mogiły, o które nie miał już kto

grzebania swoich bliskich zmarłych w ładnym miejscu, z drugiej - poprzez wykop nowych grobów, przesuwanie pomników w zupełnie inne miejsca, zbieranie znalezionych kości zmarłych do tzw. ossuarium (w tym przypadku wolnostojącej budowli wzniesionej w obrębie cmentarza, gdzie mają być umieszczone ekshumowane szczątki zmarłych, tak jak to się robi w przypadku, gdy w miejscu starego zakładu się nowy cmentarz) w jakiś sposób się tych zmarłych profanuje. Największą zaletą budowy nowego cmentarza jest jednak to, że może dzięki temu uda się ograniczyć chociaż w niewielkiej części dewastację cmentarza po drugiej stronie ulicy Lubelskiej i bezprawne niszczenie starych nagrobków, żeby zrobić miejsce na nowe pochówki. □



## Co ginie i już tego nie ujrzymy

**Pytają czasem skąd u mnie to dziwne zainteresowanie językami co ledwo, ledwo żyją, a i też umierają. Bo jak powiadają znawcy co rok ginie ich w naszym świecie kilkanaście. O narzeczach, czy dialektach, które nie dorobiły się rangi języka nawet nie wspominam.**

Dla mnie to niby straszliwy wpływ krwi w czasie ostatniej fazy gruźlicy. Jeszcze jestem z tego pokolenia dla którego takie gruźlicze zapalenie płuc oznaczało koniec. Potem przyszła penicylina i cudowne uzdrowienia ludzi prawie leżących już w grobie. Na umieranie języków penicyliny nie wynaleziono. I oto był język, były jego pieśni, opowieści, były nawet w tym języku „mowy sekretne” znane tylko wtajemniczonym, była skomplikowana gramatyka.

Bo często języki budują wielce skomplikowaną relację ze światem opowiadanych i nazywanych rzeczy, ze stawianiem się przeróżnych spraw w barwnych odmianach czasu teraźniejszego, przyszłego, przeszłego, zaprzęzłego, dokonanego, zamierzonego, dokonywanego - już braknie w polszczyźnie na to nazw... Było i się zbyło.

Jest jeszcze jakiś starzec czy staruszka, która tłumaczy etnografom umarły język na jakiś ogólnie znany. Ale czy tłumaczy dobrze, czy zmyśla czy się myli? Nie wiadomo, bo to ostatni świadek umarłej mowy. W naszym wieku też ginęły języki. Jeden o mało nie został zabity - to jidysz - bliski naszej ziemi.

Inny bliski mnie to irlandzki (ten prawdziwy, zwany gaelic) który odrodził się w pierwszej dziesiątce lat zeszłego wieku, kiedy Irlandia odzyskiwała niepodległość. Był popierany, a jednak umiera. No, może poważnie choruje. Niby każdy polityk irlandzki ma obowiązek w swoich angielskojęzycznych przemówieniach powiedzieć też coś po irlandzku. Tylko, że szkolny język (ten ustalony do nauczania) jest tak odmienny od „mówionego” w przeróżnych okręgach gdzie się go jeszcze używa, że mało co jest zrozumiałe.

Po co o tym piszę. Bo jeszcze jeden język bliski irlandzkiemu to walijski. I tu odmiennie, coraz więcej ludzi wraca do tej bardzo trudnej mowy. Walijski się gwałtownie odradza.

Czemu? Powiadają uczeni, że to

wynik tego, czy język narodu zdał egzamin z tłumaczenia Biblii. Walijszczyk zdali. Irlandczycy mimo swej niezwykłej poezji i literatury nie kwapili się jakoś do tego egzaminu. I czegoś zabrakło. Choć na samym początku chrześcijaństwa był to jeden z nielicznych krajów gdzie kwitła zarówno literatura w języku narodu i całe piśmiennictwo łacińskie. Gdzie, nie było tego co jest chociażby u nas, jakiejś zapaści, zaniku starej pieśni. Oczywiście inaczej niż u nas literatura irlandzka wytrzymywała porównanie z łacińską i wejście chrześcijaństwa było zetknięciem się wielkich kultur.

My tego powiedzieć o sobie nie możemy, a i na pewno niewiele wiemy. Nawet tego, czy pieśni o ojcach co zjadali ryby stare, schnące, a my mamy żywe w oceanie pluskające jest łacińskim tłumaczeniem śpiewu rycerzy Krzywoustego czy wymysłem samego kronikarza.

Niemniej późniejsze zetknięcie się z Biblią podniosło wysoko poziom naszej literatury. Parę świetnych tłumaczeń, jedno genialne księdza Wujka i wielkie trawestacje psalmów przez Kochanowskiego.

Tak sobie myślę, ciesząc się, że mimo starań nieprzyjaciół nasz język nie umiera. Dzieje się różnie, ale zawsze jest żywy. Przez to w najlepszych wierszach prawie nieprzekładalny. Bo przekłady dają nam jakąś wiedzę o oryginalnym wierszu, ale na ogół daleką. Nieprzekładalny, silny, odrębny, tworzący ciągle wspinałe metafory, powiedzenia. Jakie to dziwne, że do jakiejś tam rzeki czy gór, do jakiejś granicy ludzie rozumieją się nawet w kłótni, znają i odczytują całe kłębowiska znaczeń wynikających z każdego słowa. Śmieją się z powiedzonek. A za niegłębką rzeczką, niewysoką górką już nie. Bardzo to czasem przeszkadza bo chcielibyśmy siebie uświadomić innym. Na przykład piękno szalonych wierszy Leśmiana. A tu nie bardzo. A tu nijak.

Ale jak pomyśle, ile to takich Leśmianów, niezwykłych poetów

### Ernest Bryll

poeta, pisarz, autor tekstów piosenek, dziennikarz, tłumacz i krytyk filmowy, także dyplomata. Autor licznych tomików poezji, sztuk scenicznych, oratoriów, musicali i programów telewizyjnych. Tłumacz z języka irlandzkiego, czeskiego, jidish.



ginących języków i znaczeń umiera co rok, to strasznie mi smutno. Bo już nie dowiem się o jakimś zaginionym wierszu, nie przemówi do mnie nawet ułomnym tłumaczeniem. Bo świat się upraszcza, zubaża. Biurokratyzuje tak, że tak zwany „międzynarodowy angielski” staje się obcym językiem dla rdzennego Anglika z Yorkshire. Jedyne co mnie pociesza to wiara, że Najwyższy zna wszystkie języki i pamięta całutką poezję wszechczasu.

I może kiedyś udzieli mi tej niezwykłej wiedzy gdy będziemy wędrować w puszczy odmiennych słów i znaczeń. □

### Przy kominku ojczystym

*Przy kominku ojczystym, no może przy kuchni*

*Palimy sobie niepotrzebne na nic Stare wspomnienia. Niestety cuchnie Bo nie palimy, tylko upychamy Sprawa za sprawą. Palimy jak śmieci Wszystko co nasze. Niech nic nie wyleci*

*Z domowej kuchni bajki. Nie wiadomo gdzie*

*Ach bajka, przy kominku lepsza jest niż te*

*Darcie papierów jakbyś swoje, życie Oskubywał jak skrzydła ptaka znajomego*

*Ale już nieważnego, dawno ubitego Cuchnie to stare pierze. Chyba je spalicie?*

*Tylko kominem pójdzie straszny smród*

*Więc może lepiej te piórka tęczowe Upchnąć do poszewki*

*Niechaj młode głowy*

*Mają niepewne poduszki dla snów*

## o. Tomasz Dostatni



fot. Maciej Kaczanowski

- dominikanin, publicysta, duszpasterz inteligencji, rekolekcjonista, prezes Fundacji "Ponad granicami". Jest autorem kilkudziesięciu programów telewizyjnych z cyklu "Rozmowy w drodze". Publikuje w prasie świeckiej i katolickiej. Pełnił funkcję dyrektora Wydawnictwa W drodze. Ostatnio wydane książki: „Zza bramy klasztoru”, „Przekraczać mury”. Mieszkał przez 5 lat w Pradze.

Lecz tym razem nie musiałem walczyć ze snem. Ciekawiło mnie, co też mój kolega dominikański a dziś mój przełożony, prowincjał napisał. Wiedziałem, że biorę do ręki powieść, czy też wielką opowieść napisaną z literackim zacięciem. Już sama forma jest czymś niezwykłym dla duchownego w Polsce. Konstrukcja literacka jako sposób, aby powiedzieć coś o swoim doświadczeniu spotkania z ludźmi. A właściwie konkretnie z młodzieżą i ich rodzicami.

Roktaty, to tytuł owej opowieści pisany łącznie. W pierwszej osobie liczby pojedynczej bohater-narrator w dwunastu rozdziałach - dwunastu miesiącach roku, opowiada o sobie czyli ojcu, który przez pełen rok zostaje sam w domu z czwórka córek, gdyż żona, trochę zmęczona, a trochę rozczarowana mężem, wyjeżdża na stypendium do Australii. Ów tytułowy tata musi poświęcić córkom prawie cały swój czas i odkrywa, że owe panny są inne niż myślał. Wcześniej to żona się nimi zajmowała, teraz jej obowiązki rodzicielsko-wychowawcze przeszły w całości na niego. Miesiąc po miesiącu, tydzień po tygodniu, dzień po dniu, więzi między nimi zadziergają się od nowa. Psychologia rodzinna nie jest uproszczona, a dialogi czyta się lekko i ciekawie.

Lecz dla mnie, rówieśnika bohatera-narratora, jak też i autora książki, jest to powieść, nie boję się tego powiedzieć trochę pokoleniowa. Bo dzisiejsi mężczyźni, mający między 40 a 50 lat, odnajdą w tej narracji wiele odniesień kulturowych i historycznych do swojego życia. Echa tych samych lektur, tej samej muzyki której się słuchało lub słucha, tych samych oglądanych filmów...

# Ojciec też człowiek

**Jadąc na trasie Poznań - Lublin czytałem książkę. Pociąg jest dobrym miejscem do lektury, no chyba, że właśnie człowiek usypia, przyciskając głowę do szyby i myśli leniwie układa w głowie, w takt dudniących kół. A efekt jest wtedy z góry znany.**

Można by mnożyć owe tło powieści, lecz także ta próba uchwycenia doświadczenia swojego pokolenia przez literacki tekst księdza i zakonnika budzi mój mały zachwyt. Wreszcie coś innego niż nudne, pseudonaukowe i pseudoteologiczne dywagacje, których poza autorami owych tekstów - no i może recenzentami - nikt tak naprawdę nie przeczyta.

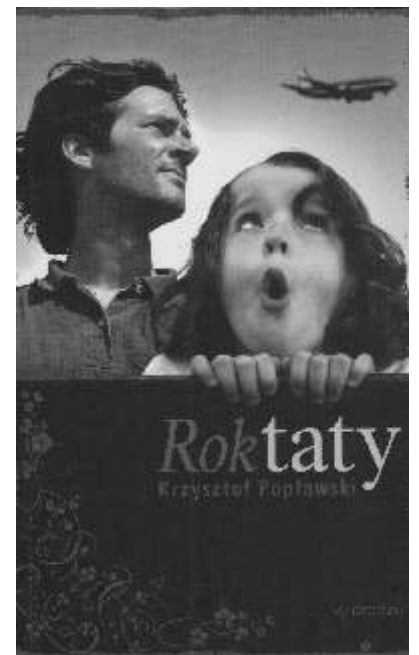
Kiedyś Jan Paweł II powiedział, że o „Bogu mamy mówić językiem humanistycznym, a o człowieku językiem mistycznym”. Roktaty jest taką próbą humanistycznego użycia języka i metody literackiej aby przekazać doświadczenie przygody spotkania z ludźmi w swoim kapłańskim życiu.

O tym, że autor jest księdzem, dominikaninem można się dopiero dowiedzieć z krótkiego „wyjaśnienia na zakończenie”, gdzie czytamy: „... Książkę pisałem w przerwach w nauce chińskiego, by nie zapomnieć polskiego i Polski. Opowieść jest wpisana w konkretny czas (sierpień 2004-lipiec 2005), stąd odwoływanie się do różnych wydarzeń z tego okresu. Wtedy właśnie przez rok mieszkałem sam (choć to brzmi dosyć paradoksalnie w kontekście 1,3 mld mieszkańców) w Chinach. W znacznym stopniu książka zrodziła się z opowieści i tęsknot dzieci, młodzieży, dorosłych, których spotkałem na mojej drodze. A jako księdzu przyszło mi spotkać się z wieloma ludźmi”.

Czyta się tę opowieść lekko, to jest przeżycie ze spotkania z tą książką moje, lecz także innych, z którymi już zdążyłem wymienić pierwsze uwagi. Ta lekkość to wielka zaleta tej lektury, lecz pozostawia ona czytelnika z czymś jeszcze ważniejszym. Z poczuciem dotknięcia, myślę, że tylko dotknięcia, problemów gdzieś głęboko ukrytych w naszych domach i naszych rodzinach.

Braku wzajemnych więzi i jakiejś właśnie tęsknoty za relacją z kimś bliskim, ojcem i matką.

Nie chcę moralizować i nawet wartościować, lecz zaprosić do lektury. I do spojrzenia po niej na swoje relacje rodzinne i przyjacielskie. Kończę ten tekst w Dzień Ojca 23 czerwca i myślę sobie, że ojcostwo domaga się odkrycia na nowo przez tych, którzy są ojcami naturalnymi, czy duchowymi. Ale i przez tych, którzy swoich ojców może gdzieś tam przesunęli na boczny tor. Zdziwiony pozytywnie językiem narracji i pomysłem literackim, zaskoczony dobrym odbiorem książki, pragnę się dołączyć do życzeń córek, które je przekazały swemu ojcu właśnie w dzień Ojca: „Na zakończenia pełnego wrażeń dnia trzy starsze córki wręczyły mi po laurce, a Ania wycisnęła na policzku wielkiego buziaka, twierdząc, że to wystarczy.



Krzysztof Popławski, „Roktaty”,  
W drodze 2009

To, co napisała Marta, było piękne: "Jaką rolę dać Ojcu? Szklanej góry, trudnej do zdobycia, lecz tym cenniejszej, bardziej szanowanej i podziwianej? Góry, z której w każdej chwili można się ześlizgnąć, po to, by w mozołę znów zdobyć szczyt i w nagrodę grać się w słońcu uwagi, zainteresowania, wyłączności zarezerwowanej dla niewielu osiłek? A może ubrać takiego Ojca w wielką, fałdzistą spódnicę, by mieć się do kogo, do czego przytulać i gdzie chować twarz? Usadzić Go na krzeselku, by z daleka był widoczny, lecz łatwo dostępny, ot na wyciągnięcie ręki?

Cieplutki, puszysty jak króliczek. Wielki jak kokoszka. Jesteś górą i kokoszką, i tak jest dobrze Marta."

Małgosia napisała: "Lecz błogosławieństwo ojcowskie Buduje domy dla dzieci (F. Holderlin, Do księcia) niech się tak stanie." Maria zaś w swoim stylu: "Życzenia są egoistyczne (to znaczy takie, bym ja także miała z tego korzystać) życzę Ci, byś był z nas dumny," ale ku mojemu zaskoczeniu dołączyła karteczkę z wierszem Roberta Frosta Pastwisko (z małymi zmianami):

*Gdy idziesz oczyścić źródelko, to które przepływa przez pastwisko: grabiami, zgarniasz tylko liście z wody; patrzysz chwilę, czy płynie przezrzyściej; choć idziesz i zaraz wracasz proszę, pozwól mi iść*

*z sobą*

*Gdy idziesz przynieść cielątko, to które się trzyma boku matki, a takie nieporadne małe, że gdy krowa je liźnie, chybotce się całe.*

*Choć pójdziesz i zaraz wrócisz proszę, rzeknij: chodź*

*ze mną".*

## • Dorota Skakuj

# Ślady mijającego piękna

**W ostatnim czasie ukazała się bardzo interesująca publikacja autorstwa Krzysztofa Garbacza „Na szlaku biłgorajskich kapliczek i krzyży przydrożnych”. Biłgorajskie kapliczki, jak się wydaje, to jego pasja.**

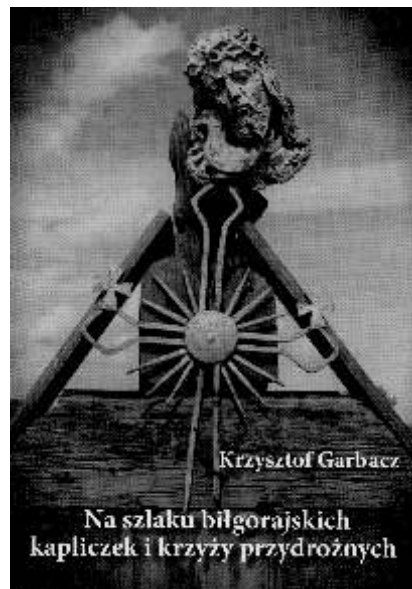
Publikacja dokumentuje odchodzące w przeszłość kapliczki i krzyże przydrożne, a więc to, co stanowi do dziś typowy element krajobrazu kulturowego Ziemi Biłgorajskiej. Autor pisze: Budowa kapliczek, ciosanie krzyży i rzeźbienie dla nich świątków to wprawdzie niektóre z zajęć uprawianych przez lud katolicki Ziemi Biłgorajskiej, ale jakże ważnych, mających przecież duży wpływ na religijność tej społeczności i jej stosunek do spraw ostatecznych. Dalej dodaje: Świat biłgorajskich kapliczek i krzyży przydrożnych to świat jeszcze realny, w który wpisuje się wiele interesujących opowieści odnoszących się do ich historii, obrzędów i zwyczajów wioskowych, koncentrujących się wokół tych „świadków wiary”. Kapliczki i krzyże przydrożne to istotne punkty odniesienia nie tylko w sensie typograficznym, ale i religijnym oraz patriotycznym. Tu bowiem miały miejsce wydarzenia głównie o charakterze osobistym, jak przeżywanie różnych uroczystości religijnych, pożegnania zmarłych, odprowadzanych na cmentarz parafialny czy zakładanie małych cmentarzyków w celu grzebania niechrzczonej dzieci.

Krzysztof Garbacz przypomina, że obiekty architektury drewnianej takie jak kapliczki i krzyże przydro-

żne są cennymi świadectwami kultury duchowej i materialnej.

Opisuje zachowane niejednokrotnie w stanie szczątkowym obiekty drewnianej małej architektury sakralnej, głównie kapliczki i krzyże przydrożne, wspomina też takie, których już nie ma. Widać to w książce doskonale, gdyż autor dokumentował najciekawsze - jego zdaniem - kapliczki dwukrotnie: po raz pierwszy w 1980 roku i ponownie w latach 2006-2008. Książka została napisana w oparciu o przeprowadzone przez autora badania terenowe oraz szeroką kwerendę archiwalną i bibliograficzną. Jej wartość podnosi informacje uzyskane od mieszkańców Biłgorajszczyzny. Trzeba dodać, że w książce autor umieścił aż 270 czarnobiałych fotografii kapliczek i krzyży.

Książkę, chociaż jest obszerna (352 strony) lekko się czyta. W formie gawędy autor przybliżył nam odchodzące w przeszłość kapliczki i krzyże przydrożne, nasze biłgorajskie „figury”. Skupia się przede wszystkim na tych najstarszych, wybierając głównie drewniane, jako mniej trwałe. W „kapliczkową” opowieść wpisuje poznane legendy związane z krzyżami i figurami, informacje o twórcach świątków czy fundatorach i ich motywach. Prace uzupełniają rozdziały w których



autor opisuje drewniany świat biłgorajskiej wsi oraz dotyczące klasyfikacji krzyży i kapliczek.

W pracy opisano m. in. trasy z Biłgoraja w kierunku na: Harasiuki - Hutę Krzeszowską, na Bidaczów Stary Łazory, na Ciosmy, na Korytków Duży i Andrzejówkę.

Książka K. Garbacza to taki trochę nietypowy przewodnik. Posługując się nią można rowerem, samochodem, a niekiedy nawet i pieszo odbywać krótkie wycieczki po okolicach Biłgoraja. Trasy są niedługie, najczęściej kilkunastokilometrowe. Mogą to być wycieczki śladami wiary, historii czy tradycyjnej kultury ludowej regionu biłgorajskiego. Zawsze warto. W ten sposób będziemy bowiem oglądać ślady mijającego już niestety piękna. □

## Adam Sikorski



dokumentalista, historyk specjalizujący się w zakresie, historii najnowszej. Główny obszar zainteresowań to dzieje żołnierza polskiego w ostatniej woj-

nie, partyzantka i antykomunistyczny ruch oporu w naszym regionie. Autor cyklu programowych o tematyce historycznej "Było ...nie minęło", „Ocalić od zapomnienia”. Jego tryptyk filmowy „Powstanie Zamojskie” został nagrodzony na festiwalu filmów dokumentalnych w Nowym Jorku.

## Szopa Bogdana

W szopie jest ciemno. Przy ręcznych latarkach układamy rampę z desek biegnącą w górę na platformę ciężarówki. Z pomocą kilku dodatkowych rąk, zaczynamy wtaczać z ogromnym wysiłkiem walcowaty kształt dudniący glucho pancerną blachą grubości 10 milimetrów. Im my szczęśliwsi, tym Bogdan smutniejszy. Przez całe lata marzył o rekonstrukcji Vickersa, ale do tego potrzebna jest cała fabryka, duże zaplecze techniczne. Dla nas zaś znalezienie wieży do czołgu, którego tylko 18 sztuk wyruszyło we wrześniu do walki, po 70 latach zdarzeń, które przekreśliły byt tych maszyn jest czymś mniej wiarygodnym niż znalezienie w polu za chałupą samorodków złota. Jedna wieża ocalała w Beskidzie Wyspowym pod Kasiną, ale pocięta palnikiem we wzory wieńczy pomnik pancerników pułkownika Maczka. Tą Bogdan wypatrzył na podwórku gospodarstwa, kiedy postawiona na włazach służyła za śmietnik.

Sam czołg z pewnością należał do Warszawskiej Brygady Pancerno Motorowej i po marszu od Wisły pomiędzy Frampolem a Biłgorajem wyzionął ducha. Wojsko poszło dalej ku swemu losowi, a nad pozostawioną maszyną rozdzwoniły się młotki i przecinaki. Vickers był pod względem demontażu trudniejszym od TKS- sów i 7TP, gdzie płyty pancerne skręcono na śruby - tutaj grube nity zakute na gorąco trzeba było rozciąć. Zawsze zachodzimy w głowę nad pracowitością chłopów, którzy całymi dniami pracowali przy porzuconym wojskowym sprzęcie. Jak rozbierali armatnie oporo-

## Komentarze do Mapy Tajemnic Biłgorajski czołg

Z bijącym sercem otwieramy zardzewiałą kłódkę nieczynnej od lat kuźni - co będzie za drzwiami My byliśmy szybsi czy złomiarze... Tak mogą się zaczynać relacje z dziesiątków naszych wypraw poszukiwawczych, jak mapa wrześnieowych polskich pancernych szlaków długa i szeroka. Szczęście, jak to szczęście, uparcie demonstruje nam swą zmienną naturę, często odchodzimy rozczarowani, ale trafiamy też na wspaniałych starych ludzi, którzy wielu amatorom metalowej masy mówili: „...to z naszego czołgu, nie oddam”. Wtedy opowiadamy o naszych zamiarach złożenia z tych rozproszonych kawałków, pordzewiałych, ale gdzieśgdzie ukazujących jeszcze typowy wojskowy kolor, dobytých z prywatnych kolekcji, kuźni i spod ziemi po jednym egzemplarzu maszyn bojowych wojska II Rzeczypospolitej. Mają jeździć wszystkie. TK 3,TKS, 7 TP i Vickers. Trzy pierwsze pojawią się podczas jesiennej rekonstrukcji bitwy pod Tomaszowem, zaś nasza przygoda z Vickersem dopiero się zaczyna. I historia zdecydowała o tym, że zaczyna się w okolicach Biłgoraja.

powrotniki, zdejmowali potężne sprężyny zaworowe z czołgowych Saurerów i wreszcie sprawiali, że sześciotonowy pancerny kolos po kilku dniach w kawałkach zniknął w zagrodach. Okazało się, że dziś błogosławimy te chłopskie niestrudzone ręce i jak to mówią „pomyślunek” przy rozbiórce bez specjalistycznych narzędzi - wreszcie filozofie że w gospodarce wszystko się przyda.

Leżały tedy przez dziesięciolecia pancerne płyty boczne, denne i podwieżowe polskich czołgów w bardziej błotnistych miejscach podwórek służyły za kładki nad strumykami zastosowań było tyle ile potrzeb i ludzkiej pomysłowości.

Tak było do połowy lat osiemdziesiątych, kiedy to ruch poszukiwawczy zmadrał, naczytał literatury, nauczył się rozpoznawać to, co już dawno straciło wyraźny militarny charakter. Choć Bogiem a prawdą, nadal w najwyższej cenie była broń, bagnety, odznaczenia a części samochodowe i czołgowe zbierali tylko nieliczni „maniacy”. I znowu byłbym skrajnym niewdzięcznikiem nie wspominając o Biłgorajskim Muzeum, które jako jedno z pierwszych zaczęło organizować poszukiwawcze wyprawy pancernym szlakiem. Grzęzły „maluchy”, na nieutwardzonych leśnych drogach ledwo zipiąc pod ciężarem potężnych czołgowych podzespołów. I jak się potem okazało był to czas najwyższy...

## Szopa w Górnikiem

Starsza pani przygląda się

ciekawie zza płotu grupie młodych ludzi w militarnych uniformach z dziwnymi urządzeniami w rękach. Co chwila któryś z nich zaalarmowany sygnałem z głośnika wykrywacza pochyla się i kopie Łuski, zamki karabinowe guziki rozbrojeniowa codzienność. Ale kiedy pojawia się na powierzchni potężna głowica 100 konnego czołgowego silnika Saurer nie wytrzyma, podchodzi i zaczyna opowieść o końcówce września 1939 roku - „...Czołgom zabrakło paliwa i utknęły tutaj pod lasem. Czołgiści granatami zniszczyli wnętrza i poszli każdy w swoją stronę. Poza jednym głosem starszej panie mięknie - Franciszek Rżowski został u nas i bardzo go polubiłam. Podarował mi nawet karabin maszynowy z czołgu na pamiątkę... Potem karabin odebrali mi bracia, kiedy szli do partyzantki... Gdybyście mogli dowiedzieć się, co z Franciszkiem potem było, kiedy odszedł od nas...”. Oczywiście obiecujemy. Centralne Archiwum Wojskowe daje taką szansę prześledzenia żołnierskich losów. Ale bardziej na razie interesuje nas, czy przypadkiem w zabudowaniach z polskich bojowych maszyn nic nie zostało. Starsza pani otwiera wrota szopy i z siana wyciąga po kolei części zawieszenia Vickersa, sworznie, blachy pancerne, opowiadając, że sporą część tego zdemontowała na pamiątkę po czołgistach sama. Ale największe zaskoczenie czeka nas pod płotkiem warzywnika. Kompletna wyciągarka artyleryjskiego ciągnika C 7 P - rzadkość nad

rzadkościami. I jeszcze jedna ważna informacja - wiadomość o dwóch kowalach spod Guciowa, którzy nocami czołgi i ciągnik demontowali i przez las części wozili do siebie. Następnego tygodnia już tam jesteśmy. Najpierw zaczynamy krążyć wokół zabudowań z wykrywaczami przeglądając laski, miedze i głębokie debry, jakich w tej okolicy nie brakuje. Kiedy zaczynamy buszować w rozpadlinie najbliższej kuźni pojawia się kowal życzliwy, ale nieco spięty tłumaczy nam że tu nie mamy czego szukać i posyła dwa kilometry pod las gdzie „wojsko zakopało wszystko...”. Posłusznie, pół dnia przeszukujemy tamto miejsce z wynikiem zerowym i orientujemy się, że kowal chciał nas po prostu od swoich schowków odciągnąć. Wracamy i tym razem pytamy wprost o części czołgów spod Górnika... Wszystko staje się proste. Części są, ale muszą kosztować. Wzruszamy ramionami rasowy poszukiwacz nigdy niczego nie kupuje. Ale fama o częściach u kowala idzie w Polskę - jak potem słyszymy składzik w szybkim tempie pustoszeje. Dziś przystępując do rekonstrukcji Vickersa trochę żałujemy tego doktrynalnego uporu, ale stało się

#### **Silnik z sąsiedka**

Pojawienie się naszych charakterystycznych samochodów terenowych w każdej okolicy wywołuje

zainteresowanie - poszukiwaniom towarzyszy zwykle gromadka kibiców z różnych pokoleń, dla nas bezcennych, bo nikt jak miejscowy nie wie, co u sąsiada pod płotem leży. Kiedy pewnej niedzieli przeczesujemy okolice Stanisławowa, zatrzymuje się jadący rowerem rolnik. „Interesuje was silnik do czołgu? - pyta mój znajomy ma taki od wojny. Leżał po bitwie na pace polskiej wojskowej ciężarówce widać nigdy nie używany”. Na kartce szkicuje nam układ wsi, do której mamy jechać, ostatnie zabudowania pod lasem. Jak zawsze jesteśmy nieco sceptycznie nastawieni do takich rewelacji, jakich dziesiątki poprowadziły nas do nikąd. Obiecujemy kiedyś tę informację sprawdzić, ale opowieść o kompletnym nowym silniku zaczyna po środowisku krążyć. Kiedy jednak docierają do nas jej echa ze środowisk konkurencyjnych - jedziemy. Drewniany dom przy drodze, mały. Ciąg zabudowań gospodarczych, ostatnia komórka niska i ciasna w wielkich skrzyniach mieści zboże. Gospodarz rozgarnia złociste ziarno, a spod niego wylania się najpierw gaźnik Solex, potem głowica z sześcioma świecami i napis PZInż - Państwowe Zakłady Inżynierii - wszystko lśniące, bez plamki rdzy. Rzeczywiście czołgowy silnik, ale z małego pancernego chrapaszca TKS. Vickers

napędzany był przez istne monstrum o pojemności niemal 7 litrów Armstrong Puma - nota bene bardzo nie lubiany przez czołgistów chłodzony powietrzem i wечно przegrzewający się. Ogromne cylindry tego silnika zdemontowanego z wraku w Margolach długo leżały u kowala w Aleksandrowie... Ale to już zupełnie inna opowieść.

#### **W Pancernej Klinice**

Kaskady błękitnego światła biją po ścianach hali. Uderzają z donośnym echem młoty Szkielet czołgu z dnia na dzień potężnieje. Mam uczucie, że nitując kolejną blachę do odradzającej się maszyny należałoby pomieścić obok informacje, o tym skąd pochodzi, kto przechował, kto odzyskał... Bardzo symbolicznie ten Vickers zawarł w sobie los wielu czołgów, ludzi i miejscowości. Mam też takie naiwne może marzenie, by odrodzona maszyna z łoskotem gąsienic przetoczyła się trasą tych wrześniowych, przez Biłgoraj, Aleksandrów, Górniki. Tak, aby powiedzieć słowami generała Maczka, skierowanymi do tych właśnie czołgów „stare dzielne pocziwe Vickersy...”, nie udało się nikomu wyrwać was do końca z ojczywej historii. Po siedemdziesięciu latach dzięki łańcuchowi ludzi dobrej woli powracacie w chwale. □





## Piotr Flor

pasjonat, regionalista, długoletni współpracownik gazety Tanew, autor publikacji dotyczących mało znanych faktów z historii Bilgoraja

Wszystko zaczęło się jeszcze w trakcie przygotowań do założenia Bilgoraja przez potomków Dymitra Gorajskiego herbu korczak, słynnego podskarbiego i marszałka wielkiego koronnego, tj. przed wrześniem 1578 roku. Ponieważ odziedziczyli oni po swym możliwym przodku olbrzymie dobra ziemskie, rozlokowane przede wszystkim wzdłuż pobliskiej Tanwi, Sanu oraz Wisły, byli dzięki temu panami takich miast lub osad na całej piętnasto- i szesnastowiecznej Lubelszczyźnie, jak na przykład Dąbrowica, Gromada, czy sąsiednia Sól, a także Abramów, Kąty (pod późniejszym Frampolem), Goraj, Zagrody, Branew, Chrzanów, Turobin, Radziecin, Sokołówka, Teodorówka, Szczebreszyn, Kraśnik, Prawiedniki (pod Lublinem) i leżący daleko na południu Krzeszów.

A że Adam Gorajski, zwany starszym, razem z bratankami: Piotrem oraz Adamem (młodszym), a później także z jego synem Zbigniewem, byli znanymi kalwinami już od II połowy XVI w., postanowili właśnie wtedy, aby ich nowo lokowany gród nad Ładą stał się jedną z prężniejszych siedzib protestanckich w ówczesnym województwie lubelskim. I rzeczywiście tak się stało. Do Bilgoraja zaczęli wkrótce napływać kalwini z całej Małopolski, na czele z ich katechistami Wojciechem Czechowiczem i Andrzejem Jezierskim, następnie z ministrami, tj. pastorami, Piotrem Militusem, Marcinem Crociniusem, Janem Węgierskim (z Lublina) i Pawłem Obrębskim.

Około 1624 roku zastąpił ich najpierw Jan Dąbski, a tuż po nim przybył do naszego miasta, także z Lublina, wieloletni przywódca protestanckiego dystryktu lubelskiego, jego zupełnie przypadkowy imiennik, Jan Grzybowski, który sprawował tutaj swoje obowiązki najdłużej, bo co najmniej do początku 1641 roku.

Co ciekawe, to właśnie za jego posługiwania powstał w 1628 roku pierwszy bilgorajski cech zbiorowy, obejmujący kotlarzy, bednarzy,

## Jak powstała parafia

**Być może trudno w to uwierzyć, ale aż do października 1954 roku nasze miasto należało do ośrodków posiadających zaledwie jedną parafię katolicką. W obecnym Bilgoraju jest ich już cztery razy więcej, a niebawem powstanie zapewne kolejna. Jednak poza św. Marią Magdaleną wszystkie pozostałe są i będą zawsze tylko filiami najstarszej wspólnoty parafialnej Kościoła Łacińskiego nad Białą i Czarną Ładą. Warto więc poznać dzisiaj kulisy jej powstania, zwłaszcza, że niewiele przemawiało za tym, by kiedykolwiek miało się to spełnić.**

stolarzy, kowali i ślusarzy, mający obejmować z czasem także złotników, rymarzy, garncarzy, mieczników, stelmachów, nożowników oraz kołodziei. Ostatnimi znanymi duchownymi obrządku kalwińskiego w prawie siedemdziesięcioletnim ośrodku nad Ładą byli Daniel Robonius (do 1649 roku) i Samuel Decanus (do 1650 roku).

Oczywiście dzięki pewnej tolerancji wyznaniowej kolejnych właścicieli Bilgoraja, szybko pojawili się tu również okoliczni unicy oraz wyznawcy judaizmu, ale trzeba sobie od razu powiedzieć, że ani cerkiew św. Jury, powstała prawdopodobnie już na początku XVII wieku, ani tym bardziej o wiele młodsza od niej bożnica, nie odgrywały w ówczesnym miasteczku większej roli.

Albowiem nasz młody gród był aż do końca lat sześćdziesiątych XVII wieku prężnym ośrodkiem reformacji. Wśród 37 zborów kalwińskich Lubelszczyzny zajmował przez lata czołowe miejsce, obok Bełzyc, Lublina, Lubartowa i Kocka. O jego ówczesnej pozycji świadczy chociażby fakt, iż do 1654 roku włącznie przeprowadzono w nim aż dziewięć synodów i konwokacji kalwińskich (pierwszy w 1630 roku), a dziesięć lat wcześniej planowano nawet przeniesienie do Bilgoraja generalnego gimnazjum kalwińskiego ze wspomnianych Bełzyc.

Nic więc dziwnego, że miejscowy zbor upadł nagle po prawie dziewięćdziesięciu latach swojej działalności, tj. w 1665 roku, i to nie na skutek kontrreformacji, tylko z powodów materialnych.

W międzyczasie rodowa fortuna Gorajskich została już dawno mocno uszczuplona na rzecz kanclerza i hetmana wielkiego koronnego Jana Zamoyskiego, który zakładając swoją słynną ordynację zamojską nabył drogą kupna prawa nie tylko do Kraśnika, Szczebreszyna, Turobina i Goraja, lecz także do Soli i Dąbrowicy oraz leżącego na południu

Krzeszowa, dzięki czemu okrążył dobra bilgorajskie ze wszystkich stron.

W ten sposób stały się one nagle niewielką enklawą w środku jego olbrzymiego majątku, co wraz z innowierczością pierwszych bilgorajan odbiło się to bardzo szybko, a co najgorsze, także niekorzystnie, na dziejach tutejszego Kościoła Łacińskiego.

Kiedy bowiem około 1624 roku przybył do nas z Lublina, na zaproszenie drugiego ordynata Tomasza Zamoyskiego, o. Seweryn Chamic, kapłan katolicki z Prowincji Polskiej Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, zwanych powszechnie franciszkanami, okazało się, że kaplica, przy której będzie sprawował sakramenty, wzniesiona na cześć objawień św. Marii Magdaleny, znajduje się poza miastem, (tj. w dzisiejszej Puszczy Solskiej), a nie w jego murach.

Było to oczywiście spowodowane tym, że Bilgoraj znajdował się nadal w rękach Gorajskich, których w tym czasie reprezentował dzielny uczestnik niedawnej bitwy pod Chocimiem, a zarazem hojny opiekun zborów kalwińskich w Radzięcinie i grodzie nad Ładą oraz przyszły kasztelan chełmski, Zbigniew.

Obu sąsiadów, oprócz majątku, dzieliło niestety wyznanie. Jeden z nich był w końcu gorliwym i fanatycznym katolikiem, drugi zaś zażartym protestantem, w tym wypadku oczywiście kalwinem, chociaż z czasem dał się poznać również jako człowiek o dużej tolerancji religijnej, dopuszczając chociażby do wyboru na cechmistrza bilgorajskiego kandydatów innej wiary, „o ile okazaliby się zdatnymi do tej funkcji i byli dobrymi ludźmi”.

Zrozumiałym więc staje się fakt, iż ów o. Seweryn nie wiele mógł zdziałać w prywatnym mieście Korczaków we wspomnianym 1624 roku, zakładając przy tym, że w ogóle

wpuszczono by go wtedy do miasta z tradycyjną nauką. Nie zapominajmy, że Gorajscy zabrali wcześniej katolików kościół w Radzięcinie, który po wypędzeniu księdza, zamienili na zbór kalwiński.

Zresztą to samo robiono wtedy w wielu okolicznych miejscowościach i wszędzie od pewnego czasu działały bardzo aktywnie, na bazie wcześniejszych świątyń łacińskich, tylko zbory protestanckie. Przykładowo w Turobinie kalwiński i ariański, w Goraju kalwiński, a w Szczepieszynie luterancki. Jedynie w Tarnogrodzie i Potoku Górnym działały kościoły katolickie.

Wówczas wydarzyło się jednak coś niesamowitego i niepojętego w historii pierwszej parafii katolickiej w Biłgoraju, chociaż zaciążyło to bardzo na jej dalszych dziejach. Właśnie w 1624 roku włączono administracyjnie działalność duszpasterską samotnego o. Seweryna Chamiec pod zależność powstałego niewiele lat wcześniej dekanatu turobińskiego, utworzonego w strukturze najuboższej w całej Rzeczypospolitej diecezji chełmskiej.

Zaledwie rok po przybyciu o. Seweryna na ziemię biłgorajską, czyli w 1625 roku, nastąpił podział jego prowincji zakonnej na dwie odrębne jednostki administracyjne, czyli na Prowincję Polską i Litewsko-Ruską Zakonu Braci Mniejszych Konwentualnych, która z czasem również się rozdzieliła.

Wówczas o. Seweryn powrócił do swego klasztoru w Lublinie, jedyne zresztą konwentu franciszkańskiego po tej stronie Wisły, należącego do Prowincji Polskiej, a w jego miejsce przysłano kogoś innego. Niestety nie wiemy dzisiaj dokładnie nic więcej na ten temat. Niewykluczone, że zakonnicy opuścili w ogóle swą niedoszłą placówkę.

Albowiem dopiero w 1644 roku przybyli tu na stałe, zdecydowanie większą grupą i bynajmniej nie z Lublina, tylko z kilkudziesięcioosobowego klasztoru zamojskiego, a ich oficjalnego przeniesienia dokonał wówczas osobiście sam biskup chełmski (wkrótce przemyski) ks. Paweł Piasecki. To on także zezwolił im wtedy na udzielanie sakramentów, ale wyłącznie przy historycznie pierwszym kościele katolickim w tym miejscu, wybudowanym, jak na ironię, zaledwie dwa kilometry za prote-

stanckim miastem.

Fakt ten przyczynił się jednak bardzo szybko do diametralnej zmiany ogólnej sytuacji katolików mieszkających, tak w ordynacji zamojskiej, jak i w samym ośrodku kalwińskim. Nie da się zresztą ukryć, że już wcześniej, bo od 1639 roku, aż do 1654 roku włącznie wielu poddanych Jana Zamoyskiego, zwanego Sobiepanem oraz mieszczan biłgorajskich, a nawet i przedstawicieli okolicznej szlachty zaczęło doznawać tu cudownych uzdrowień.

W ten sposób liczba wiernych w mieście zaczęła systematycznie rosnąć, a obdarzeni łaską z nieba stawali się rzecz jasna chrzestnymi kolejnych mieszkańców tego grodu. Niestety nadal był on jeszcze kalwiński. I chociaż został oszczędzony podczas potopu szwedzkiego, za tę innowierczość najechali go kilka lat później własni żołnierze.

Dokładnie w maju 1660 roku splądrowali je wspólnie: chorąży Samuel Gorzkowski (z oddziału Stefana Czarnieckiego) oraz stacjonujący bezprawnie w Radzięcinie pułkownik Niezabitowski i przebywający w pobliżu starosta babimojski Krzysztof Żegocki. Co ciekawe, ten ostatni po śmierci swej drugiej żony został po dziewięciu latach duchownym, i jak na złość, otrzymał nominację na ordynariusza chełmskiego, wskutek czego sam stał się pasterzem miasta, które wcześniej beznamiętnie złupił.

Dopiero po zmianie właściciela Biłgoraja na podskarbiego koronnego i wojewodę lubelskiego Władysława Reja, który w międzyczasie przeszedł z powrotem na katolicyzm, doszło do upadku miejscowego zboru kalwińskiego. To właśnie on bowiem pozbawił go w 1665 roku dotychczasowych środków utrzymania. Tym samym zanikł rozdzwięk pomiędzy miastem, a sąsiednią placówką zakonną i można było odtąd głosić w nim bez przeszkód naukę katolicką.

A popyt na nią ciągle wzrastał. Jednak znowu coś stanęło na przeszkodzie, a mianowicie, to że, w 1676 roku franciszkanie otrzymali na własność kawałek ziemi pod Biłgorajem, zwany wówczas Czostkową Górą (później także Świętą Magdaleną i Księżą Górką) i już na zawsze związali się z tym miejscem.

Z czasem założyli tam folwark, z browarem, młynem oraz karczmą zajezdną, który najpierw przeistoczył

się w jurydykę kościelną, a następnie w wieś poddańczą o znanej dzisiaj wszystkim nazwie Puszcza Solska.

Ale szesnaście lat później, tj. w 1692 roku, biskup chełmski Jacek na Święcicach Święcicki, wymógł w końcu na nich obowiązek sprawowania sakramentów w pobliskim Biłgoraju, chociaż do końca nie wiadomo, czy oni sami nie postarali się wcześniej także i o ten dodatkowy przywilej. W każdym bądź razie zaledwie dwa lata później postanowiono na synodzie diecezji chełmskiej, iż „mający powstać kościół biłgorajski wraz z erygowaną przy nim parafią będzie należał, aż do odwołania, do dekanatu turobińskiego”.

Tylko, że jego budowę rozpoczęto znowu dopiero po sześciu latach, czyli około 1700 roku, a zakończono w 1705 roku. Prawdopodobnie stało się to również dzięki pomocy zakonników, budowniczych trzech wcześniejszych kościołów za miastem, łącznie ze swymi klasztorami, którzy właśnie w 1705 roku zaczęli stawiać nawet kolejną, i co najważniejsze, najwspanialszą drewnianą świątynię na całej ziemi biłgorajskiej, spaloną nieszczęśliwie od uderzenia pioruna w 1792 roku.

Pomimo tego nadal nie doszło do erekcji katolickiej parafii w Biłgoraju, ale bynajmniej nie z powodu samych franciszkanów. Albowiem oni, zgodnie z decyzją papieża Urbana VIII, nie mogli w ogóle przyjmować takich obowiązków na siebie, przynajmniej już od 1625 roku. Co więcej, na swoje 93 domy zakonne w Rzeczypospolitej posiadali zaledwie 26 parafii, z czego na samą Ruś przypadało ich aż 14, łącznie z pobliskim Góreckiem, Szczepieszynem, Zamościem i późniejszą Puszczą Solską.

Po prostu nie było wtedy w diecezji chełmskiej jeszcze nikogo zdanego do obsadzenia nowej placówki w naszym mieście. Cała historia znalazła więc swój epilog dopiero w grudniu 1717 roku na kolejnym synodzie. Wówczas bowiem miejscowy ordynariusz, ks. Krzysztof Szembek, nie czekając dłużej na pomoc zakonników, mianował pierwszym proboszczem biłgorajskim ks. Jana Kantego Mroczkowskiego z Krasnegostawu. Ów kapłan zaczął pełnić swe obowiązki duszpasterskie zaraz po swym przybyciu do Biłgoraja, tj. w styczniu 1718 roku. □



Marek Szubiak

Marek Szubiak - dziennikarz, publicysta, wieloletni redaktor naczelny BGS Tanew. Współtwórca i prezes Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego. Debiut pisarski - powieść „Brzegi nadziei”

Od 1 stycznia 1959 roku rozpoczął działalność, powołany przez Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Biłgoraju - Zakład Gospodarki Komunalnej.

W latach 1959 - 1962 wybudowano 1820 mb dróg, 4380 m<sup>2</sup> chodników, 3500 mb sieci elektrycznej NN oraz 1500 mb WN, 846 mb sieci wodociągowej. Urządzono 1640 m<sup>2</sup> zieleni.

W roku 1960 Zakład Gospodarki Komunalnej otrzymał ciągnik i beczkę asenizacyjną, w 1961 r., dwa samochody star z polewarką i beczką asenizacyjną.

W realizacji zadań z zakresu gospodarki komunalnej partycypowały większe zakłady pracy Biłgoraja: Włosiankarska Spółdzielnia Pracy, Zakłady Jajczarskie, Oddział PKS, Urząd Poczty i Telekomunikacji, Powiatowy Związek Gminnych Spółdzielni, w szczególności w budowie wodociągu miejskiego. Na uwagę zasługuje też kilka akcji budowy z zakresu gospodarki komunalnej w ramach czynów społecznych mieszkańców i pracowników biłgorajskich zakładów pracy. W latach siedemdziesiątych w Biłgoraju dynamicznie rozwijało się budownictwo mieszkaniowe, przemysł, handel, usługi. Wzrastała liczba mieszkańców. Gospodarka komunalna zostawała w tyle, konieczny stał się jej rozwój i przekształcenia.

Baza przedsiębiorstwa nie była powodem do dumy władz miasta. W przedsiębiorstwie pojawił się nowy dyrektor.

- Był to rok 1971 lub 1972. Pierwszy kontakt z przedsiębiorstwem był bardzo przygnębiający. To, co zastałem, jeden parterowy budynek i zabłocony plac - nie przypominało przedsiębiorstwa, było obrazem nędzy i rozpacz. Złapałem się za głowę i pomyślałem, „co ja zrobiłem”. Trudno, stało się, trzeba się brać za robotę. Miasto miało

## 50 lat w służbie miastu

**Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej w Biłgoraju obchodzi jubileusz 50-lecia działalności na terenie Biłgoraja i okolic. W tym okresie przechodziło rozmaite przekształcenia, trudności i zmaganie się z problemami. Cel zasadniczy pozostał niezmienny - komunalna służba mieszkańcom miasta.**

w tym czasie mnóstwo problemów komunalnych. Przede wszystkim wodociągi. Oczyszczalnia nie istniała. Sieć kanalizacyjna, jako taka nie istniała. Nad rzeką Biała Łada w okolicach mostu na ul. Lubelskiej było coś w rodzaju szamba, a ścieki szły wprost do rzeki. To na początek. Zacząłem od organizacji przedsiębiorstwa i skompletowania kadry. Przedsiębiorstwo zaczęło się powoli rozwijać. Powstały zakłady terenowe przedsiębiorstwa w Goraju, Frampolu, Józefowie, Tarnogrodzie, które wykonywały usługi komunalne na terenie swoich gmin. W ten sposób powstało już Powiatowe Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Rozwój przedsiębiorstwa oznaczał konieczność stałego poszerzania bazy, terenu, budowy budynków i zakupu sprzętu. Trzykrotnie przesuwaliśmy granice posesji, dokupując sąsiedni teren - wspomina były dyrektor Czesław Łukasik.

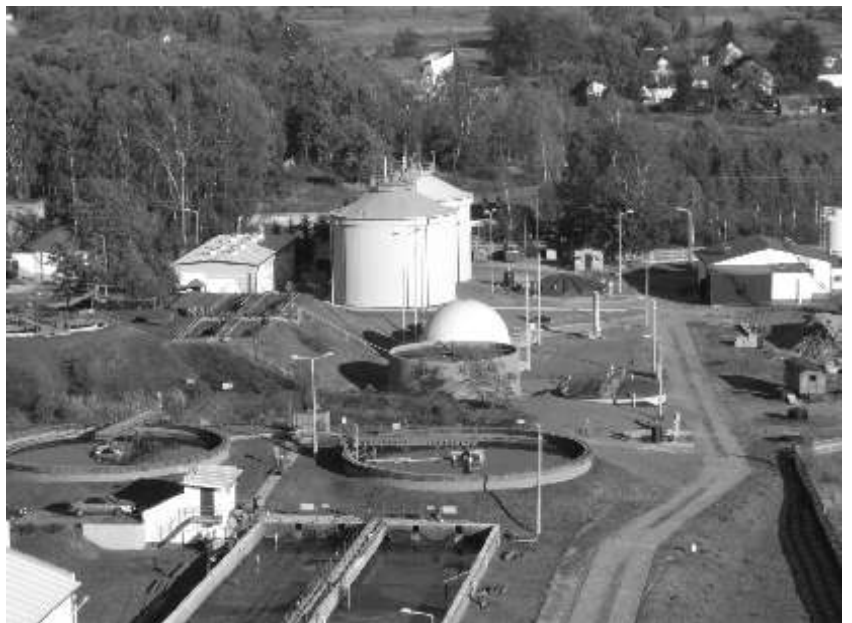
Przedsiębiorstwo, w realiach lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych

napotykało na wiele poważnych problemów, w tym z zakupami materiałów i sprzętu.

- Sprzęt mieliśmy rozmaity: samochody ciężarowe star 25 i star 28, IFA, multikary, beczkowsy na podwoziu stara, śmieciarka, polewaczka i inne. W szczytowym okresie park maszynowy liczył około stu jednostek pojazdów i innego sprzętu. Żadnych przydziałów na nowy sprzęt nie było i najczęściej nabywany sprzęt trzeba było remontować na naszym warsztacie - wspomina, ówczesny główny mechanik Janusz Szafarski.

Zakupy materiałów i części wymagały znajomości sposobów ich zdobycia.

- Trudności, jakie wiązały się z pozyskiwaniem wszelkich materiałów były nie do opisania. Wszystko trzeba było załatwiać na wszelkie sposoby, np. wyjeżdżało się do hurtowni jednego dnia, aby zamówić towar utartymi sposobami tj. wódka, bimber i inne rarytasy, by następnego dnia pojechać po odbiór



Miejska Oczyszczalnia Ścieków



towaru samochodem ciężarowym. Zapotrzebowanie na materiały było olbrzymie, ich uzyskanie było też łatwiejsze temu, kto miał większe znajomości - wspomina kierownik działu zaopatrzenia i zbytu Stanisław Mazur.

Obok problemów ściśle materialnych, pojawiały się kłopoty wynikające z różnicy poglądów, na funkcjonowanie przedsiębiorstwa, pomiędzy ówczesnymi władzami miasta, a dyrektorem Łukasikiem. W przedsiębiorstwie nazwano to „szkołą Łukasika”.

- Zostałem zastępcą dyrektora Czesława Łukasika. Pracowaliśmy razem przez dwadzieścia lat. Tu też zetknąłem się z, jak to nazwałem - szkołą Łukasika. Był to sposób kierowania przedsiębiorstwem przez dyrektora Łukasika w warunkach PRL i gospodarki rządzonej systemem nakazowo - rozdzielczym. Cechy tego sposobu to profesjonalne zarządzanie oparte na dobrym gospodarowaniu, porządku i osobistym nadzorze. Inną cechą tej szkoły była kadra - profesjonaliści, kompetentni pracownicy. Pierwszym przykładem był sam dyrektor Łukasik. Okres jego zarządzania w latach 1972 - 1992, charakteryzował się zdecydowanym rozwojem przedsiębiorstwa. Osobistym sukcesem dyrektora było żądanie zleceń w miejsce poleceń, jakie wydawali zwyczajowo przedstawiciele władz miejskich administracyjnych i politycznych. To była walka o prawa przedsiębiorstwa i jego rangę, zakończona pozytywnie do tego stopnia, że ośrodek dyspozycyjny w zakresie gospodarki komunalnej znajdował się pod naszym adresem, na Łąkowej 13, a nie w innym miejscu. W stylu zarządzania, dyrektor był prekursorem gospodarki rynkowej. Wyrażał to też w maksymie: „Ja mogę robić za darmo, byleby mi się opłacało” - wspomina prezes Władysław Romańczuk.

Rozwój przedsiębiorstwa przejawiał się nie tylko w poszerzaniu i rozbudowie bazy, ale też w rozszerzaniu zakresu i ilości usług. W szczytowym okresie rozwoju przedsiębiorstwa, zatrudnienie sięgało 400 pracowników. W skład przedsiębiorstwa wchodziły zakłady: wodnokanalizacyjny, gazu bezprzewodowego, ochrony środowiska, remontowo-budowlany, usług pogrzebowych, gospodarki mieszkaniowej i zieleni, górnictwa kamien-

nego (kamieniołom w Żelebsku). Ponadto funkcjonowały zakłady terenowe w Tarnogrodzie, Frampolu, Goraju i Józefowie. Finałem przekształceń było powstanie spółki nazwanej Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej Spółka z o.o. Nastąpiły zmiany organizacyjne dostosowujące przedsiębiorstwo do funkcjonowania; w nowym ustroju gospodarczym.

Reorganizacja kadrowa skutkowała dostosowaniem zatrudnienia do struktury przedsiębiorstwa. Aktualnie zatrudnionych jest 125 pracowników. Nastąpiło skondensowanie świadczonych usług w trzech zakładach: wodociągów i kanalizacji, ochrony środowiska i gospodarki mieszkaniowej. Z usług przedsiębiorstwa korzysta około 16 tys. odbiorców. Nie zmienił się przedmiot

fosforu. Osady poddawane są fermentacji i powstający gaz jest wykorzystywany do celów technologicznych i ogrzewania. Zmodernizowano w 2002 r. miejskie składowisko odpadów, które spełnia wszelkie normy techniczne. Przyszłość przedsiębiorstwa to dalsze zadania, między innymi: wymiana starej sieci wodociągowej, w tym azbestowej, rozbudowa kanalizacji sanitarnej w dalszych 13 km, z wykorzystaniem funduszy unijnych. W zakresie spełniania wymogów unijnych konieczna jest do roku 2015 dalsza modernizacja gospodarki wodno-ściekowej i gospodarki odpadami.

- Na miarę możliwości, staliśmy się nowoczesnym przedsiębiorstwem, efektywnie gospodarującym, dysponującym nowoczes-



Nowoczesna Stacja Uzdatniania Wody

usług: dostawa wody, odprowadzanie i oczyszczanie ścieków, wywóz i utylizacja odpadów stałych, dystrybucja gazu bezprzewodowego i autogazu i zarządzanie komunalnymi zasobami mieszkaniowymi miasta. Kompletnie zmodernizowano stację uzdatniania wody. Przedsiębiorstwo uzyskało międzynarodowy certyfikat jakości ISO 9001÷2000. W eksploatacji jest 170 km sieci wodociągowej, a dostawa wody wynosi 1 050 000 m<sup>3</sup>. Wykonano kolejny etap modernizacji oczyszczalni ścieków budowa obiektów gospodarki osadowo-gazowej. Sieć kanalizacyjna z przykanalikami wynosi 120 km. Ścieki odprowadzane są do mechaniczno-biologicznej oczyszczalni przy chemicznym usuwaniu związków

nym potencjałem technicznym i technologicznym, wyróżnianym wśród innych. Staramy się świadczyć usługi na rzecz miasta, na coraz wyższym poziomie. Dzisiaj, aby odnieść sukces trzeba myśleć kategoriami dobra publicznego, dbać o klienta, wykazywać autentyczną dbałość o środowisko i troszczyć się o pracowników, aby mogli wykonywać swoją pracę w warunkach godnych i bezpiecznych - podsumowuje prezes Andrzej Furmanek. □





**Wiktoria Klechowa**

biłgorajanka od lat współpracuje z gazetą Tanew, autorka książki "Na skraju Puszczy Solińskiej, laureatka nagrody Literacko-Publicystycznej "Labędzie Pióro"

Zanim nazwano biłgorajską ulicę Bora - Komorowskiego, wcześniej nosiła nazwę 22 Lipca. Ale tak naprawdę, a było to w latach międzywojennych, a także jeszcze po wyzwoleniu, w tej części miasta nie było ulicy z prawdziwego zdarzenia. Była tu pusta, piaszczysta przestrzeń porośnięta karłowatymi sosenkami - po prostu piaski. Za tą pustą przestrzenią stały domy przedmieścia zwane Różnówka Piaski.

To na tej piaszczystej przestrzeni ćwiczyły sotnie Kozaków stacjonujące w Biłgoraju na przełomie XIX i XX w. po wykarczowaniu uprzednio rosnącego lasu. To przez tę piaszczystą przestrzeń wycofywał się oddział Wojska Polskiego spod budynku Urzędu Bezpieczeństwa po nieudanym szturmie na ten budynek w maju 1945r, by ująć w las.

W latach międzywojennych i czas jakiś po wyzwoleniu, w dzień Wszystkich Świętych i Zadzuszny migotały nocą pod żydowskim kirkutem światelka. Zapalano znicze na mogile zmarłych na cholere w I wojnie światowej.

Po II wojnie Biłgoraj zaczął się rozbudowywać. Zaplanowano na tych piaskach ulicę. Zaczęto układać kostkę brukową. Pierwsza zabudowa to obory i chlewnie, przy nich jakiś kantorek, czy baraczek na biuro. Tu rozpoczęto skup bydła i trzody chlewnej, by wywozić następnie te zwierzęta ciężarówkami dalej w Polskę, w świat. Firma zajęła duży plac i wchłonęła mogiłę zmarłych na cholere. Ktoś postawił dom. Stanął barako - magazyn zbożowy, obok którego urządzono zbiornik wody. Postawiono jakieś metalowe urządzenie, a w nim wytapiano smołę.

Na początku lat 60. wybudowano magazyn wraz z biurami i skupowano tytoń, zwożony z całego powiatu furmankami. Bywało, że przyjeżdżało ich tyle, że nie mieściły się na placu. Powstało Biłgorajskie Przedsiębiorstwo Budowlane. Wybudowano kolejny 2 - piętrowy biurowiec i magazyny. Zatrudniono wielu fachowców, kadrę inżyn-

## Ulica gen. Bora - Komorowskiego

**Kim był Bór - Komorowski? To żołnierz, generał dywizji Wojska Polskiego. Uczestnik walk w I wojnie światowej i w kampanii wrześniowej 1939r., w konspiracji dowódca Armii Krajowej. To on podjął decyzje o wybuchu powstania w Warszawie. Premier rządu Rzeczypospolitej na uchodźstwie.**

nieryjną. Budowali oni bloki nawet na Śląsku, w Bułgarii, czy Iraku.

Związek Gminnych Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej wybudował obiekty handlowe, w których składowano żywność, materiały gospodarstwa domowego, maszyny rolnicze. Wybudowano silosy na zboże, powstała mieszalnia pasz. Nad wszystkimi tymi obiektami górował wysoki komin, z którego jednak nigdy nie unosił się dym i na którym siadały bociany. Stanął też niewielki budynek, w którym była wylęgarnia drobiu, powstał obiekt: Centrala Nasienna.

Tak sytuacja się przedstawiała do roku 1980. W Biłgoraju też strajkowano. Wtedy jakoś mniej zaczęto wywozić z tej buchy krowy świnie. Mniejszy stał się skup tytoniu, bo Lubelska Wytwórnia produkująca papierosy nie bardzo miała już czym płacić. Brakowało maszyn rolniczych. Magazyny stały często puste. Upadło Biłgorajskie Przedsiębiorstwo Budowlane, budynki opustoszały. Po kilku latach utworzono w nich Zakład Opieki Społecznej - dziś Dom Kombatanta. Magazyny wraz z biurowcem, gdzie skupowało się tytoń, objęła w posiadanie prywatna Firma zajmująca się skupem drzew i przeróbką drewna.

We wszystkich obiektach po

Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej powstały prywatne firmy różnych branż handlowo - usługowych o nazwach zupełnie niepolskich. Zamiast skupu bydła i trzody chlewnej, „las” maszyn rolniczych - prywatne firmy. Wokół tego obiektu jest też ta zapomniana mogiła, na której już nikt świeczek nie zapala...

Nie ma już wylęgarni drobiu. W miejscu magazynów skupujących zboża powstał magazyn meblowy, także jeden z banków. W hotelu robotniczym mają teraz siedzibę różne instytucje. Na placu należącym do prywatnych właścicieli wybudowano obiekt handlowy, a obok powstał handel uliczny. Z budami, budkami, namiotami, stołami, parasolami. Po prostu targowisko nazwane „Baltona”.

Ulica Gen. Bora - Komorowskiego jest wyasfaltowana, z nowymi chodnikami, z urządzeniami wodno kanalizacyjnymi. Przy chodnikach rośnie kilka drzew - ścięto niedawno jedną akację.

Jest to ruchliwa ulica o długości około jednego kilometra, ciągnąca się od ulicy Tadeusza Kościuszki do ulicy Batalionów Chłopskich. Z ulicy Gen. Bora - Komorowskiego można wejść w ulicę Marii Konopnickiej, by zwiedzić żydowski kirkut - miejsce pamięci. □



Zapomniana mogiła zmarłych na cholere po I wojnie światowej. (fot. T. Brytan)

# Przeznaczeni

**Jak przeżyć kilkadziesiąt szczęśliwych lat w małżeństwie? To jest możliwe i wcale nie jest trudne - zapewniają państwo Sabina i Jerzy Skakujowie z Biłgoraja. Przeżyli razem prawie 60 lat.**

- Do Biłgoraja tylko po to przyszedłam, żeby odrobić stypendium - opowiada pani Sabina.

- ..żeby za mnie wyjść - śmieje się mąż.

- I miałam wrócić na Podlasie. Nie wyobrażałam sobie życia bez Buga, bez Podlasia, bo tam jest tak pięknie...

Pani Sabina pracowała jako nauczycielka w pobliskim Różańcu. Przyszłego męża spotkała po raz pierwszy w Biłgoraju, w Powiatowym Inspektoracie Oświaty. Nie od razu jednak para wpadła sobie w oko.

- Pierwsze, takie już dłuższe spotkanie, było wtedy, kiedy wyjeżdżałam na Wielkanoc. Jechałam do rodzinnych Sepolic. Odprowadzała mnie koleżanka, nie miałyśmy gdzie poczekać. Wtedy jeździło się kolejką, która była koło przystanku, gdzie w tej chwili jest PKS. To była „ciuchcia”. Ponieważ ta ciuchcia odjeżdżała dopiero wieczorem, powiedziały do koleżanki: „Chodźmy do Wydziału Oświaty, może tam jest otwarte; tam przynajmniej posiadzimy”. I wtedy po raz pierwszy mieliśmy okazję porozmawiać dłużej - mówi pani Sabina

Pan Jerzy też dokładnie pamięta te chwile.

- Popatrzyłem, ładna dziewczyna. Miesiąc jeszcze pracowałem w Inspektoracie i oznajmiłem przełożonemu, że chciałbym przenieść się na wieś, niedaleko Różańca, żeby być bliżej Sabiny. Parę miesięcy się znaliśmy i co?... Żenimy się! Byłem nieśmiały; więc się nie oświadczałem - śmieje się pan Skakuj. - Mówię tylko do przyszłej żony: wiesz, wszyscy ludzie nas żenią, więc może... Nie było nas stać na ślub. W Tarnogrodzie ksiądz chciał od nas za ślub chyba 700 zł, a myśmy wtedy we dwoje tyle zarabiali.

Ale pani Sabina miała „znajomości” w Lublinie, w kościele u kapucynów. Jako młoda dziewczyna śpiewała u nich w chórze.

- Zakonnik, który prowadził chór obiecał, że da nam ślub i załatwił wszystkie formalności z nim związane - tłumaczy.

Młoda para nie miała łatwego

startu w życiu. Początek lat 50 - tych, biedna wiejska szkoła, wkrótce na świat przyszły dzieci, doszły więc nowe obowiązki. Zanim Państwo Skakujowie na stałe zamieszkali w Biłgoraju żyli i pracowali między innymi w Teodorówce, gdzie w Domu Dziecka byli nie tylko nauczycielami i wychowawcami, ale rodzicami dla kilkadziesiątu chłopców i dziewcząt. To była praca dzień i w nocy. Wielu z tych podopiecznych nie mówi dziś do Pani Sabiny inaczej niż: mamo.

- Była nęcza i bieda, a dzieci głodowały. Kiedy zorientowaliśmy się, jak zła jest sytuacja załatwiliśmy z Biłgoraja przydział żywności - opowiada pan Jerzy.

Do Biłgoraja przyjechali z żoną



Sabina i Jerzy Skakujowie

na początku lat 60 - tych. Mieszkali w pierwszym spółdzielczym bloku, jaki powstał w mieście, na drugim piętrze.

- Nie można było palić pod kuchnią, bo bojler był w nią wmurowany, więc mogłoby go rozsadzić. Wlewaliśmy więc w niego butelką wodę, żeby nie był pusty. Było to czasochłonne i męczące - wspominają Skakujowie.

Pani Sabina rozpoczęła pracę w szkole ćwiczeń, a kilka lat potem została wychowawczynią klas I - III w szkole Podstawowej nr 1. Mąż z kolei został powiatowym inspektorem do spraw kultury.

- W całym moim życiu małżeńskim najtrudniejszy okres, to był stan wojenny - twierdzi pani Sabina. -

Człowieka nie powinno spotkać tyle złego, za pracę i poświęcenie - mówi o mężu.

Kiedy w grudniu 1981 roku został aresztowany, pani Skakuj nie pozwolono go nawet odwiedzić. Wigilię spędził sam w celi

- Zrobiłem z opakowań lekarskich krzyżyk, a znicz z margaryny - wspomina pan Jerzy.

Ale przetrwali wszystkie złe chwile.

- Po burzy nastaje słońce. Tak samo i w życiu, po latach suchych i ciężkich jest jakoś lżej - wyjaśnia pani Skakuj.

Wraz z mężem, w ciągu 58 lat dochowali się trójki dzieci, siedmiorga wnucząt i prawnuków.

- Żona jest przez Boga przeznaczona - twierdzi pan Jerzy.

- Teraz nasze życie wygląda tak, że się rano wstaje, modlimy się wspólnie, kiedyś nie było czasu na to... czasami się człowiek modlił idąc do pracy - dodaje żona.

O mężu mówi, że jest uparty

i stanowczy.

- Ale ja się z żoną dogadam - tłumaczy pan Skakuj.

- Wracamy po mszy, robimy zakupy i idziemy do domu.. i już tak razem - dodaje żona.

A jaka jest ich recepta na wspólne życie?

- Mamy takie same cele. Bywa, że jak jedno o czymś pomyśli, drugie już to robi. Tak jakoś wpadamy na siebie... zgodnie twierdzą oboje. Po prostu trzeba pracować i żyć nie tylko swoim życiem, ale i innych. No i kochać się, i dzieci kochać, czekać na te dzieci. I żeby ten dom był domem. Zawsze □

Joanna Wyróstek  
Redakcja BK Tanew

## Halina Ewa Olszewska



dziennikarka, poetka, prozaik, laureatka konkursów poetyckich. Publikowała m.in. na łamach: BGN "Sito", "ANGORA", "Poznaniak", "Tanew", "Kurier

Polski", "Magazyn Kresowy", "Gazeta Janowska", Biłgorajski Rocznik Społeczno-Kulturalny "ASPEKTY" i w innych pismach. Współzałożycielka Biłgorajskiego Towarzystwa Literackiego a następnie Biłgorajskiej Plejady Literackiej. Laureatka wielu konkursów poetyckich.

Tamten majowy weekend pachnący bzem, z widokiem kasztanowców w rozkwicie, sprzyjał artystycznym doznaniom. Już pierwszego dnia „z teatrami”, niemalże cała sala w BCK wypełniona była publicznością podczas „Kolacji na cztery ręce”, wg sztuki Paula Barza, opartej na fikcyjnym spotkaniu dwóch wybitnych artystów, kompozytorów, J.S. Bacha i G.H. Haendla. Autor w prześmiewczym tonie, z dużą dozą ironii ukazuje blaski i cienie ludzi sukcesu. Obnaża niskie pobudki bohaterów, próżność, chciwość, egocentryzm, plagi wszechczasów jaką jest zawiść i bezwzględna dążność do dominacji kosztem zwalczania, poniżania innych. Pod koniec sztuki, jeden z bohaterów ujawnia skrywane emocje, przyznaje się do dyskomfortu ciągłej walki i uczucia pustki, mimo splendoru sławy i bogactwa. W roli Haendla wystąpił Marek Sawicki, zarazem reżyser spektaklu. Bacha zagrał Adam Zych, a Adam Kwaśny wcielił się w rolę usługującego artystom. Wymyślone przez Barza dialogi artystów, w niezwykle sugestywny sposób obrazują dramat samotności za parawanem wielkiej sławy. Bez wątplenia w „Kolacji na cztery ręce” znajdujemy wiele analogii z realiami współczesnego świata show-businessu, rozbuchanego konsumpcjonizmu wraz z pogonią za sukcesem za wszelką cenę, bez względu na zasady etyki.

Sobotni spektakl „John and Mary”, przyciągnął do BCK jeszcze więcej widzów niż poprzedni. Z pewnością przyczyniła się do tego popularność Tomasza Mędrzaka, aktora powszechnie znanego m.in. z roli Stasia Tarnowskiego z pierwszej ekranizacji „W pustyni i w puszczy”, jak również z serialu „Dom”,

## POTRÓJNA MAGIA TEATRU

II Wiosna z teatrem na Kresach zapewniła jej uczestnikom obcowanie ze sztuką na wysokim poziomie. Za sprawą Fundacji „Kresy 2000”, od 8 do 10 maja 2009r. w Biłgoraju, Janowie i Tomaszowie Lubelskim można było podziwiać znakomitych aktorów warszawskich i krakowskich scen. Teatr „TM” z Warszawy grał sztukę „John & Mary”, Teatr Alchemia z Krakowa przedstawił „Kolację na cztery ręce”, „Filozofię po góralsku” zaprezentował Teatr Studio z Warszawy. Wszystkie spektakle cieszyły się dużym zainteresowaniem publiczności.

w którym grał najmłodszego z braci Talarów. Znakomity aktor od razu nawiązał dobry kontakt z publicznością. Stało się to już na początku sztuki, podczas kompilacji spektaklu z sondą „na żywo” Biłgorajskiej Telewizji Kablowej.

„Czy wierzy pan/pani w miłość od pierwszego wejrzenia?” - redaktor Gabriela Figura pytała publiczność zdążającą na spektakl. Mieszkańcy Biłgoraja odpowiadali spontanicznie i bardzo różnie. Wielu przyznało się do takich przeżyć, inni podkreślali, że miłość wymaga czasu i rozsądku, żeby mogła zaistnieć.



„Filozofia po góralsku” wg ks. J. Tischnera. Teatr Studio z Warszawy

Tomasz Mędrzak wtopił się w publiczność, zabrał głos w sondzie, potwierdzając, że owszem doświadczył miłości od pierwszego wejrzenia, jednocześnie zaczynając opowieść o tym, że najpierw zobaczył dziewczynę, usiadł przy niej, potem znaleźli się w samochodzie i w jego mieszkaniu. Następnie przechodzi na scenę i znakomicie buduje postać Johna, w towarzystwie Agnieszki Sitek, świetnej w roli Mary. Mędrzak sam przygotował tę wersję przedstawienia i wyreżyserował.

Widownia w kolejnych odsłonach, z wypiekami na twarzy śledzi nardziny miłości tej pary samotników ze sztuki autorstwa Mervyn Jones.

W czasach gdy zapanowała moda na singli, kiedy niejako z braku czasu, z powodu nieustannej pogoni za karierą, coraz trudniej o tradycyjne związki, historia tej sztuki odsłania wielką potrzebę prawdziwej miłości i bycia razem. Na zakończenie Biłgorajska Telewizja Kablowa wyemitowała sondę, nagraną tuż przed spektaklem. Ten pełen humoru i romantycznych zwierzeń materiał, znakomicie wpasował się w klimat sztuki. Wielkie brawo dla BTK.

W niedzielny wieczór, sala widowiskowa BCK wręcz „pękała w szwach”, na „Filozofii po góralsku” wg ks. Józefa Tischnera. Spektakl w reżyserii wybitnej aktorki Ireny Jun, która grała tischnerowską góralkę, obok równie znakomitego Wiesława Komasy.

Przedstawienie okazało się wielką „uczta intelektualną”, jak trafnie określili ludzie na widowni. Zagrane ze swadą, z typowym dla Tischnera przewrotnym poczuciem humoru, po góralsku interpretuje „złote myśli” klasyków starożytnej filozofii. Kunszt aktorski odtwórców głównych ról, przydaje sztuce dodatkowych walorów. Irena Jun jako bezwzględna Ksantypa, ociepla ten wizerunek poczciwym postrzeganiem piękna przyrody i zrozumieniem dla tradycyjnych relacji międzyludzkich. Wiesław Komasa w roli dojrzałego górala, z właściwym dla tej roli przyróżeniem oka, głosi filozoficzne mądrości, przełożone na góralską logikę. Pełne humoru i tzw. zdroworozsądkowej mądrości rozmowy i przekomarzenia obojga, w dużej mierze odnoszą się do realiów współczesności. Do świata pokrętej polityki, napiętnują przedkładanie wartości materialnych ponad moralne. Akcentując, że to Bóg, a nie pieniądz ma odwieczne prawo do rządzenia światem. W pewnym momencie przedsta-

wienia rozległy się grzmoty, które następnie przeszły w odgłosy ulewy, niczym efekty specjalne tworzyły metafizyczne wrażenie. Para młodych górali w regionalnych strojach, z góralskimi przyśpiewkami stanowiła dopełnienie sztuki, której autor twierdził, że „na początku byli górale...”. Częstowanie widowni oscypkiem i końcowy epizod fotografowania się z góralem przebranym za niedźwiedzia, stanowiły akcenty tła dla poważnej dysputy filozoficznej w góralskiej gwarze.

Na zakończenie II Wiosny z teatrem na Kresach, nie krył wzruszenia i dziękował wszystkim uczestnikom - Stefan Szmidt, zarządca Fundacji „Kresy 2000”, zarazem dyrektor BCK - de facto sprawca spotkania biłgorajskiej, janowskiej i tomaszowskiej publiczności z wielką sztuką teatru. Dziękował artystom i pracownikom BCK, przyjaciółom ludzi kultury i nadrzezańskiemu fundacji. Dziękowała również Maryla Olejko, kierownik ds. artystycznych BCK, również bardzo zaangażowana w organizację tej imprezy.

Aktorzy bardzo pozytywnie ocenili publiczność, jej wyrobienie jako odbiorców poważnej sztuki i dużą wrażliwość. Podczas wszystkich spektakli na widowni panowała cisza „jak makiem zasiał”, czasem przerywana gromkimi oklaskami, bądź sytuacyjnym śmiechem. Po każdym spektaklu, w uznaniu znakomitej gry aktorskiej, widownia oklaskiwała artystów na stojąco.

- Dla takiej publiczności chce się grać - mówił Tomasz Mędrzak, dodając - to jest kokieteria. Wolę



„Kolacja na cztery ręce” - Paul Barz - Teatr Alchemii z Krakowa

grać poza Warszawą. W takim miejscu jak tu się czuje, że ci ludzie przychodzą, bo chcą. Najważniejsza jest publiczność, kiedy się ją czuje i słyszy. Ten zawód to pasja i misja, żeby dzisiaj, w tych trudnych czasach teatrem podpowiadać. Pomóc odpowiadać na pewne pytania, że ważniejsze na przykład są uczucia niż pieniądze. Wentylem dla nas jest to że ta publiczność przychodzi dlatego, że chce. Chce, to nam rosną skrzydła, to nam chce się grać.

Z tą opinią zgodziła się jego partnerka sceniczna Agnieszka Sitek, doceniając w teatrze bliski kontakt z widzami.

Irena Jun podzieliła się swoimi wrażeniami. - Ja myślę, że te wszystkie trzy spektakle, te spotkania z publicznością były bardzo przyjemne. Odczuwało się ich serdeczność, jakąś wyjątkowość. Natomiast, tak jak w Biłgoraju, nie było w żadnym z miast. To naprawdę była wspianała

publiczność, reagująca również na takie niuanse, na które stosunkowo rzadko są reakcje, więc to jest komplement pod adresem publiczności Biłgoraja. Zdajemy sobie sprawę, że kultura trochę nam spada, że bardzo wiele osób akceptuje sitcomy, interesuje się serialami, sztuką łatwiejszą. W związku z tym, jeżeli ma się to pragnienie, tak jak my mamy z Wiesławem (Komasą, przyp. red.), robienia czegoś, chcemy dać ludziom coś więcej ..., żeby wraz z nami myśleli, czy żeby się z nami wzruszali rzeczą mądrą, jakąś prawdą o człowieku, szukaniem sensu człowieka wobec dzisiejszego świata.

Podobne obawy co do kondycji dzisiejszej kultury podziela Wiesław Komasa. - Jestem zaniepokojony, że właściwie nie ma takiej zdecydowanej przeciwwagi poza naszymi ogromnymi, wewnętrznymi tęsknotami za tym, żeby kultura się stała. Ale przeczytałem jedno z najładniejszych zdań Herberta, które ostatnio mnie poruszyło, który powiedział: „Zbyt łatwo uwierzyliśmy, że piękno nie ocala”.

Marek Sawicki z Teatru Alchemia na zakończenie powiedział: - Ja myślę, że każda publiczność, bez względu czy to Biłgoraj, czy Warszawa, że człowiek, który jest spragniony sztuki, czegoś co chce, więc przychodzi z własnej, nieprzymuszonej woli, no i próbujemy dać mu to wszystko, czego oczekuje.

Obserwując biłgorajską publiczność zafascynowaną wszystkimi przedstawieniami II Wiosny z teatrem na Kresach, można być pewnym, że potrafi docenić wysoką kulturę, na którą jest tu zapotrzebowanie. □



„John and Mary” - Mervyn Jones - Teatr „TM” z Warszawy

Będzie...

**Biłgorajanie budują Ławeczkę Singera**

Zarząd Biłgorajskiego Stowarzyszenia Kulturalnego im. I. B. Singera w naszym mieście buduje tzw. Ławeczkę Singera".

Inicjatywa ma na celu upamiętnienie postaci pochodzącej z Biłgoraja Isaaca Bashevisa Singera, laureata Nagrody Nobla.

BSK im. Singera zwraca się z apelem do mieszkańców Biłgoraja o wsparcie przedsięwzięcia wpłatami na konto:

PKO BPO/Biłgoraj  
38 1020 5385 0000 9402 0044 3770  
z dopiskiem „Ławeczka

**V Dni Singera**

Biłgorajskie Stowarzyszenie Kulturalne im. I. B. Singera 11-13 września zaprasza na V Dni Singera.

W programie m.in.:

- odsłonięcie "Ławeczki Singera";
- wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę Domu Singera i synagogi, która w przyszłości służyć będzie jako muzeum i Biłgorajskie Centrum Dialogu Polsko - Żydowskiego;

- prezentacja pierwszego wydania Księgi Pamięci Żydów Biłgorajskich;
- przegląd kapel klezmerskich;
- pokaz kuchni żydowskiej;

Szczegóły na plakatach i stronie internetowej [www.singer.lbl.pl](http://www.singer.lbl.pl)



IV Dni Singera - wieczór szabasowy w restauracji "Sitaraska"

**Biłgoraj nie dla turystów?**

Czy warto być biłgorajaniem? Czy warto stać się nim na kilka dni, na kilka godzin chociażby w trakcie wakacji? Czy jesteśmy atrakcyjni pod względem turystycznym? Czy jest u nas co zwiedzić, co zobaczyć? A może naszym największym kapitałem jeśli chodzi o turystykę mogłaby się stać kultura?

**Joanna Wyrostek dziennikarka KB Tanew:** Dzisiaj turystyka wiąże się coraz bardziej z kulturą, turyści chcą nie tylko zobaczyć jakieś zabytki, ale dobrze zjeść i wygodnie się przespać... chcą czegoś dla ducha, zobaczyć ciekawy film, czy spektakl teatralny. A jeszcze ktoś inny chciałby na tym zarobić. Czy u nas jest to możliwe?

**Maryla Olejko, - kierownik działu artystyczno - programowego BCK:** Na pewno jest to możliwe, moim zdaniem mamy piękne tereny, wszyscy to widzą. A jeśli chcemy coś zwiedzać to kultura świetnie się w to wpisuje.

**Andrzej Czacharowski, wiceprezes biłgorajskiego oddziału PTTK:** Podam przykład doskonałej symbiozy turystyki z kulturą. Dwukrotnie mieliśmy z Marylą możliwość współpracy, gdzie turystka bardzo mocno wiązała się kulturą. Na Wzgórzu Polak np. "związali się właśnie turyści z wysoką kulturą". Zorganizowany rajd kończył się plenerowym przedstawieniem bitwy powstańczej. To były piękne chwile, kiedy ludzie na rowerach zmęczeni umorusani, po posiłku mogli uczestniczyć w duchowym przeżywaniu ilustracji bitwy powstańczej.

**J.W.:** Czyli udało się.

**Andrzej Czacharowski:** Tak, udało się. Drugi taki rajd, przez szlak Jastrzębia Zdebrz, kończył się spotkaniem turystów z zespołem cygańskim. Jeśli więc ktoś to wszystko dobrze zaplanuje, dobrze zorganizuje to nie ma problemu. W tym rajdzie uczestniczyli ludzie z Łęczycy, z Lublina i mieszkali w Nadrzeczu, w agroturystycznym gospodarstwie. Widać więc, że czasami to wszystko się świetnie łączy.

**Maryla Olejko:** Był taki rajd szlakami walk partyzanckich. Przez kilka lat, jako pracownicy domu kultury, zapewnialiśmy na jego zakończenie jakiś mały program artystyczny, nawiązujący do walk. W zasadzie, więc te dwie rzeczy: kultura i turystyka świetnie się tu dopełniały.

**J.W.:** W tych wszystkich przedsięwzięciach, o których Państwo wspomnieli, uczestniczą więc też

osoby niezwiązane z naszym regionem, które często przyjeżdżają do nas po raz pierwszy. Dużo takich osób przyjeżdża do pani Alicji, ale też wielu gości odwiedza BCK. Co mówią o naszym mieście?

**Alicja Czarna, właścicielka gospodarstwa agroturystycznego w okolicy Biłgoraja:** Goście, którzy do mnie przyjeżdżają są zachwyceni: powietrze, woda, lasy, ścieżki rowerowe. Ostatnio byli goście z Warszawy i stwierdzili, że nawet nasze drogi nie są takie najgorsze. Nie znam negatywnych opinii od moich gości. Ci, którzy przyjeżdżają polecają nas innym i to przyciąga kolejnych turystów.

**Maryla Olejko:** Osoby, które nas odwiedzają mówią jeszcze o jednej rzeczy: o naszej gościnności.

**J.W.:** Niektórzy narzekają na ofertę kulturalną Biłgorajskiego Centrum Kultury, że tu się nic nie dzieje, ale patrząc na kalendarz imprez to chyba nie jest to prawda.... mimo to widzów często brak..., chętnie natomiast przychodzi na festyny

**Maryla Olejko:** Opinie są różne. To prawda, że ludzie chętnie uczestniczą w różnych imprezach na świeżym powietrzu. Ale ich organizacja nie jest łatwa. Trzeba ludziom zapewnić rozrywkę na kilka godzin. I tylko wtedy opłaca się taka impreza również gastronomii. Nie będziemy przy każdym koncercie serwować kiełbaski z grilla. Nie do tego jesteśmy stworzeni.

Imprez w sali widowiskowej odbywa się dużo, tylko często ludzie nie są nimi zainteresowani. Wolą narzekać.

**J.W.:** Przejdźmy teraz do spraw materialnych. Stwierdzenie, że u nas jest mało zabytków to żadne odkrycie Ameryki. Co więc może być dla nas szansą aby przyciągnąć zwiedzających?

**Andrzej Czacharowski:** Niewątpliwie jest ich mało. Pod tym względem nie możemy się porównywać ze Zwierzyńcem, czy Zamościem. Kozłówka ma przewodników, Zwierzyniec ma przewodników, u nas nie ma takiej potrzeby. Trzeba by było coś stworzyć...

**Maryla Olejko:** Wybudować ruiny!

**Andrzej Czacharowski:** No nie, byli już tacy przed nami i to było bardzo zabawne, ale nie o to tu chodzi. Są ludzie z niesamowitymi pomysłami, którzy potrafią stworzyć atrakcję turystyczną z niczego. Podam przykład Kowarów Śląskich, gdzie stworzono miniaturowe miasteczko. Przedsiębiorczy człowiek zgromadził na małym terenie zabytki śląskie.

**J.W.:** Takie nasze miasteczko sitarzy...

**Andrzej Czacharowski:** To jest wciąż miasteczko wirtualne, ale niewątpliwie przyciągnęłyby turystów. Imprezy kulturalne są czasowe, to by było coś stałego, ponadczasowego byłoby tylko w przestrzeni. I do tej przestrzeni cały czas można by było przyjechać. A na teatr, na koncert trzeba przyjechać na konkretną godzinę. To ważne żeby atrakcja była stale komponowana w krajobraz naszego miasta. My takiej atrakcji nie mamy.

**J.W.:** Historia nam nie pomoże, sami musimy coś stworzyć...

**Andrzej Czacharowski:** To jest kamyczek do ogródka naszych samorządów, ale nie tylko. To mogą być indywidualne przedsięwzięcia. Ważne jest to, że jeśli już ktoś się na coś zdecyduje, to trzeba mu pomóc, a nie przeszkadzać.

**Alicja Czarna:** Ważne jest to, abyśmy byli otwarci na takie inicjatywy. A różnie z tym u nas bywa.

**Maryla Olejko:** Tak było w przypadku pomnika sitarza, który jest przed BCK. Autor miał pomysł, chciał wykonać rzeźbę, tylko sam nie był w stanie tego zrobić. Zwrócił się do nas i pomogliśmy mu zdobyć fundusze, a on praktycznie sam wykonał resztę. Nie odepchnęliśmy go. Wierzę, że ludzie w Biłgoraju mają genialne pomysły

**J.W.:** Wspomnieli państwo, że są tutaj imprezy, ciekawe miejsca do zwiedzania. Co robią zatem turyści przyjeżdżający do pani Alicji? Co zwiedzają, gdzie jadą? Czy tylko chcą po prostu pooddychać świeżym powietrzem?

**Alicja Czarna:** Goście zazwyczaj przyjeżdżają do mnie i jadą w teren: do Zwierzyńca, do Krasnobrodu, do Józefowa...

**J.W.:** A do Biłgoraja?

**Alicja Czarna:** Jak najbardziej. Wcześniej staram się przygotować im jakiś plan, żeby wiedzieli jakie są imprezy, gdzie warto pojechać.

Niektórzy korzystają z tego, a niektórzy chcą tylko odpocząć. Ogólnie i jedni i drudzy, są zadowoleni, podoba im się Biłgoraj. Mamy bardzo ciekawe pod względem turystycznym tereny. Planuję utworzyć Centrum Turystki Wiejskiej, żeby goście mogli przyjechać, spędzić mile czas w jednym miejscu dobrze się bawić i dobrze zjeść.

**J.W.:** Tym bardziej, że u nas nie ma zbyt wielu gospodarstw agroturystycznych

**Alicja Czarna:** W ciągu ostatnich kilku lat ich liczba na wsiach wzrosła. Opłaca się je prowadzić. Wywiązuje się specyficzna więź między nami a gośćmi, którzy nas potem polecają i przyjeżdżają kolejne rodziny. Warto je prowadzić, nie tylko ze względu na pieniądze.

**J.W.:** Brakuje chyba takiego współdziałania między stowarzyszeniami turystycznymi, a kulturalnymi. Nie ma takiej wspólnej organizacji....

**Maryla Olejko:** Dla gości, którzy do

**Maryla Olejko:** Ale stowarzyszenie sami zakładacie, nie potrzeba wam do tego urzędu...

**Alicja Czarna:** Tak, ale do tego trzeba przynajmniej 15 gospodarstw.

**J.W.:** Jeśli chodzi o nasze warunki geograficzne to chyba są najmniejszą przeszkodą dla rozwoju turystyki

**Andrzej Czacharowski:** Biłgoraj jest położony na Równinie Biłgorajskiej, na płaskim terenie. Atrakcją Biłgoraja i najbliższej okolicy jest to, że mamy dużo lasów i dość dobry stan dróg lokalnych, które mogą być wykorzystywane do turystyki rowerowej. A tuż obok jest Roztocze bardziej górzyste. To daje dużą atrakcyjność, również wizualną. Tam są lasy liściaste, tu są bory sosnowe

**J.W.:** A mimo tego agroturystyka rozwija się u nas bardzo powoli...

**Andrzej Czacharowski:** Nie powinniśmy być malkontentami, bez sensu jest narzekać, cieszymy się tym, co mamy i róbmy swoje. My jako PTTK przecieramy nowe szlaki,



Program BTK „Czy warto być biłgorajaniem?”,  
od lewej: Alicja Czarna, Andrzej Czacharowski, Maryla Olejko

nas przyjeżdżają szukamy noclegów. Mamy jakieś hotele, ale bywa, że są zajęte. Kiedyś szukałam w okolicy i miałam trudności, żeby trafić na jakieś gospodarstwo agroturystyczne. Trudno mi było znaleźć je nawet w Internecie.

**J.W.:** Może brakuje wspólnej promocji, bo Państwo postrzegacie siebie wciąż jako konkurencję, a nie jako partnerów.

**Alicja Czarna:** Nie, ja tak tego nie postrzegam. Zainteresowanym udzielam jak najwięcej informacji na ten temat. Ale czekamy na przykład na pomoc urzędu.

Maryla organizuje różne imprezy, koncerty, pani prowadzi gospodarstwo. To wszystko z czasem się rozwine. Taki Zwierzyniec ma łatwiej, ale czy mu zazdrościć?

**Maryla Olejko:** Biłgoraj jest znany w Polsce i zagranicą. Wszędzie gdzie pojedę, spotykam ludzi, którzy jakoś są powiązani z Biłgorajem. Czy babcia, czy dziadek, czy rodzice. Ludzie znają Biłgoraj, choćby przez „Piejo kury” Ciechowskiego, Radosne - Żalodne, czy strój biłgorajski. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ktoś nie wiedział gdzie jest Biłgoraj, kiedy powiedziałam skąd jestem...□

**Stefan Szmidt**

aktor, reżyser, malarz, biłgorajanie, założyciel i zarządca Fundacji Kresy 2000 (nagroda Pro Publico Bono), Liczne prestiżowe wyróżnienia m.in.: „Zasłużony dla kultury polskiej”, Bene Meritus Terrae Lublinensi, „im. Włodzimierza Tetmajera”, od 2003r. dyrektor Biłgorajskiego Centrum Kultury.

Wczesną wiosną 1941 roku na biłgorajszczyźnie pojawia się nieznaną, młoda, piękna kobieta - lekarz. Pochodzi z Borysławia i jest świeżo upieczoną absolwentką wydziału lekarskiego Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. We Lwowie w końcu września 1939 roku zainstalowała się nowa władza i obwołany został on stolicą sowieckiej, zachodniej Ukrainy.

Panna Michalina Rejtharówna podejmuje ryzyko przedostania się przez nowo ustanowioną przez okupantów Sowietów i Niemcy granicę. Z dnia na dzień ze strony ukraińskich władz Lwowa narasta zagrożenie dla Polaków, a dla większości polskiej inteligencji, nie wyrażającej zgody na przyjęcie obywatelstwa ukraińskiego, szczególnie.

Podjętą ryzykowną podróż, sama, piechotą, a po jakimś czasie, szczęśliwym trafem, znajdując w polu porzuconą furkę z parą koni, bierze do ręki po raz pierwszy w życiu lejce, bocznymi drogami nocą, kierując się na zachód - nie wie nawet, w którym momencie znajdzie się na terenach zajętych przez Niemców. U kresu sił, przywiązując lejce do przydrożnego drzewa, żegna swoje, też ledwie trzymające się na nogach, rumaki. Po wielu godzinach oczekiwań na jakąś możliwość dalszej podróży, zdeterminowana, zatrzymuje odruchowym podniesieniem ręki zbliżającą się ciężarówkę. Życzliwi, o dziwo, jadący nią żołnierze niemieccy odnajdują na wojskowej mapie dwa znane jej adresy: wieś Niebocko między Dynowem, a Brzozowem, gdzie wcześniej znalazły schronienie i pracę uciekając z Borysławia przed Ukraińcami matka i młodsza siostra oraz Majdan Księżpolski pod

**"Milczenie to miłość..."**

## Teraz jest milczenie

**Dzieciństwo. Pierwszy zapamiętany, poruszający obrazek: poorane od ruskich batogów plecy dziadka pochylonego nad miednicą. Dopiero za parę lat zrozumie, że to Syberia za powstanie 1863 roku, za Polskę. To pierwsze odczucie czyjegós cierpienia zadanego przez drugiego człowieka.**



*Doktor Michalina Szmidt 1916 - 2009*

Biłgorajem, mały majątek rodziców swojego narzeczonego i kolegi ze studiów - Stefana Szmidta. Jak wynikało z niemieckiej mapy znajdowała się - niespodziewanie - blisko Majdanu Księżpolskiego. Dzięki i wysiada na szosie między Sieniawą, a Tamogrodem. Sympatyczny przypadkowy przechodzień służy informacją, że właśnie znajduje się w miejscowości Luchów Górny, dodając - z powagą: „poczta Luchów”! Chciał, być może, w ten sposób, podkreślić wagę Luchowa, składającego się nie tylko z części górnej i dolnej, ale także mającego Urząd Pocztowy! Objasnia też, że do

znanego mu Majdanu jest ok. 20 km. Widząc zmęczenie i bezradność samotnej młodej kobiety, życzliwie proponuje przerwę w podróży i odpoczynek w Luchowie Górnym. Dowiadując się, że jest lekarzem, roztacza przed nią perspektywę podjęcia, choćby od jutra, pracy w Luchowie w zastępstwie felczera, którego zabrano w 1939 roku do wojska i do tej pory nie wrócił z wojny, a liczni pacjenci nie mogą się doczekać znikąd pomocy.

I tak za kilka dni pani doktor wchodzi do swojego pierwszego w karierze lekarskiej, pustego gabinetu, obleganego przez pacjentów.



Luchów, Majdan, Biłgoraj - wszystko to na chwilę, aby przecze-kać wojnę i móc powrócić wraz z przyszłym mężem do znów polskiego Lwowa. Do swoich - żywych i tych na Łyczakowskim cmentarzu: dziadka Jakuba, powstańca z 1863 roku i ojca Józefa.

Wkrótce rozstanie z Luchowem i ślub z Stefanem w kościele w Grabownicy koło Brzozowa, dom w Majdanie, codzienne obowiązki w Biłgoraju, dziesiątki pacjentów, wojenne wa-runki i... samotność.

Lipiec 1941r. Wojna sowiecko - niemiecka. Nowe warunki umożliwiają mężowi wyjazd do Lwowa, na uniwersytet i obronę dyplomu. Na szczęście na krótko.

Codziennie pokonywanie ośmiokilometrowej odległości między Majdanem, a Biłgorajem, jest zbyt uciążliwe. Młodzi małżonkowie wynajmują samodzielne mieszkanie w Biłgoraju, blisko szpitala i ośrodka zdrowia. Trudna okupacyjna codzienność. Mizeria biłgorajskiej służby zdrowia - przede wszystkim brak lekarzy, kolejki pacjentów. Pod ręką i okiem wybitnego biłgorajskiego lekarza, dyrektora szpitala powiatowego, sławnego w okolicy chirurga, doktora Stanisława Pojaska młodzi lekarze Michalina i Stefan zdobywają pierwsze ostrogi.

Tragiczny dzień: 2 listopada 1942 roku. Zagłada biłgorajskich Żydów. Ulice zasłane rannymi i zastrzelonymi przez Niemców. Prerażona pani doktor Szmidkowa, idąc jak co dzień do przychodni na 3-go Maja, wielokrotnie musi przekraczać leżące na chodniku ciała martwych i umierających. Wie, że przy najmniejszym odruchu litości, czy próbie udzielenia lekarskiej pomocy - może podzielić ich los.

Przez pierwsze lata powojenne doktor Michalina - lekarz pediatra, biłgorajska „siłaczka”, nadal przyjmuje w swoim gabinecie codziennie dziesiątki najmniejszych i małych pacjentów. Kilka razy w tygodniu odbywa też wielokilometrowe podróże furmanką po dziurawych ulicach zniszczonego miasta i wyboistych drogach wiejskich, wizytując liczne sierocińce, ochronki dla dzieci najczęściej sierot wojennych. Do tego jeszcze godziny w szpitalu i wraz z młodszym, uzdolnionym i energicznym kolegą lekarzem pediatrą Janem Kowalskim, organizowanie oddziału dziecięcego

Zaraz po zakończeniu wojny,

jako lekarz nie może odmówić traumatycznego obowiązku, ucze-stnictwa w ekshumacjach grobów partyzanckich - m. in. na Rapach - i innych ofiar zbiorowych mordów dokonywanych przez Niemców w Biłgoraju i okolicy.

Wstrząsające obrazy, obok tych najwcześniejszych z dzieciństwa z Borysławia, ze Lwowa, z listopada 1942 roku w Biłgoraju, pozostaną na zawsze pod powiekami.

Lata 50. i 60. to wyteżona praca zawodowa i społeczna, dom, pięcioro dorastających dzieci, ale też i nauka. Kolejne specjalizacje: medycyny szkolnej i orzecznictwa lekarskiego.

Nowe kwalifikacje - to następne



Biłgoraj lata 50-te.  
Fot. z arch. J. Serafina

lata spędzone nie tylko w gabinetach lekarskich szkół ale też wyjazdy na inspekcje placówek zdrowia w powiecie, a także praca biurowa w wydziale zdrowia w Biłgoraju.

I tak dnie i noce, rok za rokiem, wraz z mężem Stefanem Szmidtem, szybko osiągającym sławę świetnego chirurga, ucznia i następcy dra Pojaska, aż do wspólnej decyzji w 1975 roku opuszczenia Biłgoraja i przyjęcia propozycji pracy i zamieszkania w Żyrardowie. Bliskość Warszawy i Brwinowa, gdzie zamieszkuje pracujące już, bądź studiujące, dzieci, a także duża część dalszej rodziny męża, ułatwiają decyzję.

Starsi mieszkańcy Żyrardowa do dziś z szacunkiem wspominają obojga doktorów.

W 1986 roku odchodzi na zawsze dr Stefan Szmidt - zycziwy i oddany ludziom człowiek, zasłużony lekarz biłgorajskiej służby zdrowia, szpitala żyrardowskiego i przychodni chirurgicznej Zakładów Liniarskich.

Pani doktor Michalina nadal codziennie odwiedza gabinety szkolne, tak jak przed laty w Biłgoraju podróżuje, tym razem samochodem, wizytując - okoliczne placówki służby zdrowia. Na emeryturę przechodzi dopiero w 1991r. kończąc 75 lat. Wkrótce opuszcza Żyrardów i przenosi się na stałe do swoich dzieci do Brwinowa.

W ostatnich latach swojego życia rokrocznie spędza letnie wakacje w Zwierzyńcu, bywając też często w Biłgoraju, Majdanie, Nadrzeczcu i miejscach pamiętnych z lat młodości. Zdarza się, że przejeżdża przez „Luchów Górny - pocztę Luchów”. Odwiedza żyjących jeszcze w okolicy przyjaciół, cmentarze biłgorajskie, odnawia znajomości sprzed lat, nawiązuje nowe przyjaźnie. Teżkni za Biłgorajem.

Nie może wiedzieć, że ostatni piękny sierpień w Zwierzyńcu i na ziemi biłgorajskiej okaże się być także ostatnim także w jej długim życiu.

Odchodzi na zawsze, 1 czerwca 2009 roku, cicho, otoczona dziećmi i wnukami u progu 94 roku swego pracowitego życia. Najlepsze jego lata, lata młodości i pełni swoich możliwości zawodowych, oddała w służbie mieszkańcom ziemi biłgorajskiej i żyrardowskiej, szczególnie dzieciom i młodzieży, dlatego tam jeszcze dziś wiele osób z najstarszego pokolenia pamięta ją i z sentymentem wspomina.

Spoczęła obok męża Stefana na cmentarzu w podwarszawskim Brwinowie, żegnana z żalem nie tylko przez najbliższych, ale także przez licznych przyjaciół z Biłgoraja, Żyrardowa i Brwinowa, przedstawicieli władz i instytucji z tych miast, pomnych jej zasług.

Była moją mamą.

Stefan Szmidt



**Alicja Jachiewicz-Szmidt**

aktorka teatru i filmu, fundatorka i kurator Domu Służebnego Polskiej Sztuce Fundacji Kresy 2000 w Nadrzeczcu k. Biłgoraja, pedagog i wychowawca młodych adeptów sztuki teatru, opiekun artystyczny teatru „Enigmatic” przy Katolickim Uniwersytecie Lubelskim;

prywatnie zadziwia gości Fundacji znajomością i oryginalnością sztuki kulinarnej wyniesionej ze stron rodzinnych: Wileńszczyzny i Biłgoraj-szczyzy

Na stole w moim domu niepodzielnie zakrólowały chłodniki:

- litewski - przez mego dziadka Stanisława „wilniuka” czyniony,
  - tarator - chłodnik biały - w trakcie pracy nad filmem „Ocalenie” u Krystyny, żony reżysera Borisa Punczewa, w Bułgarii jedzo-ny,
  - gazpacho - chłodnik andaluzyjski-andaluzyjskie, którego tajniki odkrył mi zespół folklorystyczny na spotkaniach festiwalu „Roztocze” w Tomaszowie Lubelskim,
  - jabłczanka - chłodnik owocowy
  - ulubiony chłodnik mego teścia dr Stefana Szmidta.
- Dziele się dziś z państwem recepturami:

**Chłodnik litewski:**

- 1/2 litra zsiadłego mleka
- kubek śmietany
- 1/2 kubka kwasu z kiszonych ogórków
- 4 ogórki świeże
- pęczek szczypiorku lub dymki
- pęczek koperku
- kubek duszonej na maśle botwinki ze szczawiem i szczyptą cukru
- 2 jajka na twardo
- łyżka masła
- sól, pieprz do smaku

Rozkłócić w wazie mleko, śmietanę, kwas z ogórków, botwinkę lub sok buraczany, dodać posiekany szczypiorek, koperek, doprawić solą i pieprzem do smaku. Ochłodzić. Na wydaniu dołożyć jajka w cząstkach.

Dziadku, przepraszam, wiem, że chłodnik litewski powinien zawierać szyjki rakowe lub cielęcinę. To wersja kryzysowa.

# Niedyskrecje kulinarne chłodniki

**LATO, LATO** - przesilenie wiosenno-letnie za nami, św. Jan łaskawie wodę pobłogosławił, na kąpiel w akwenach wszelakich zezwolił. Obrzędy sobótkowe na biłgorajszczyźnie, więc także w Nadrzeczcu, według starych zwyczajów biłgorajskich odprawiono. Młodzi i starzy zapatrzeni w czarowny lot robaczków świętojańskich, biorąc ich blask za rozkwitający „kwiat paproci”, do stawu razem z wiankami powpadali, skąd wyłowieni szczęśliwie wszelakiej „ablucji” przez całe lato zażywać będą chłodząc duszę i ciało.

**Tarator - Chłodnik biały:**

- 2 kubki jogurtu (lub zsiadłego mleka)
- 4 obrane i pokrojone w kostkę świeże ogórki
- 3 roztarte z solą ząbki czosnku
- pęczek posiekanego koperku
- garść posiekanych orzechów włoskich
- czubrica zielona łagodna mieszanka ziół (do dostania na czwartkowy targu w Biłgoraju)
- sól, pieprz do smaku
- oliwa

Do rozkłóconego mątewką jogurtu dodać ogórki, czosnek zmieszany z koprem, dosmaczać, posypać orzechami i polać cieniutką strużką oliwy. Ochłodzić. Podawać udekorowany listkami lebidki czyli oregano, lub miętą.

**Jabłczanka-Chłodnik owocowy:**

- 4 - 6 obranych jabłek w cząstkach
- trzy łyżki śmietany
- 1 żółtko
- cukier waniliowy i zwykły (do smaku)
- 4 - 6 ziemniaków
- łyżka masła

W małej ilości wody z cukrem rozgotować jabłka, zaciągnąć śmietaną z żółtkiem i cukrem waniliowym, schłodzić. W tym czasie ugotować w małej ilości osolonej wody z łyżką masła obrane ziemniaki. Oba przestudzona wywary połączyć. Udekorować listkami melisy lub geranium.

**Gazpacho - chłodnik andaluzyjski:**

- 1/2 kg dojrzałych pomidorów bez skórki
- 2 cebule
- 2 ząbki czosnku
- surowy ogórek
- 2 strąki papryki (zielona i czerwona)
- łyżka świeżej oliwy
- sól, pieprz do smaku

Pomidory, obrany ogórek i cebulę rozbić w mikserze na płynną masę. Papryki oraz drugą cebulę pokrajać na cienkie krążki (ja kroję w kosteczkę), czosnek utrzeć z solą, wymieszać wszystko, dodać przyprawy i oliwę, oziębic w lodówce. W momencie podawania dodać krążki papryki i cebuli, jeśli osobno - posolone i skropione oliwą. Uwaga! O smaku potrawy decyduje oliwa w dobrym gatunku. Ja ten chłodnik podaję z grzankami czosnkowymi z żółtym serem.

Wszystkie wytrawne chłodniki smakują najlepiej z cebularzem lub grycańcem biłgorajskim. Przepis w następnych „niedyskrecjach”.

Najwspanialszym deserem, który zapamiętałam z dziecięcych lat, jest „kielich miodowy”. Obrane połówki schłodzonego i wydrążonego ogórka napełniamy tegorocznym płynnym miodem. Pycha! Samo zdrowie, którego Państwu tego lata życzę.

Alicja Jachiewicz - Szmidt



# SASS

**- Zakład Remontowo-Budowlany  
Produkcyjno - Handlowo - Usługowy**

**Ryszard Sass**

ul. Zamojska 88, 23-400 Biłgoraj

tel./fax 084 686 60 53

e-mail: sass@roztocze.com.pl

**NISKIE CENY**

**SOLIDNE WYKONAWSTWO**



**HURTOWNIA MATERIAŁÓW ELEKTRYCZNYCH  
I ELEKTROMONTAŻ**

mgr inż. Kazimierz Ordecki

**MATERIAŁY**

**PROJEKTY**

**WYKONAWSTWO**



ul. Batalionów Chłopskich 6, 23-400 Biłgoraj

tel./fax [084] 686-51-06, 686-81-47

# UNIwersytet Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie Kolegium Licencjackie w Biłgoraju



## Studia stacjonarne pierwszego stopnia (3-letnie) w roku akad. 2009/2010

FILOLOGIA POLSKA • HISTORIA • KULTUROZNAWSTWO  
MATEMATYKA Z INFORMATYKĄ  
INFORMATYKA

**STUDIA  
BEZPŁATNE**

### Oferowane kierunki przygotowują do pracy w zawodach:

nauczyciel języka polskiego i historii • nauczyciel informatyki i matematyki  
informatyk • dziennikarz • instruktor w placówce kulturalno-oświatowej  
animator działań kulturalno-społecznych w samorządach lokalnych  
specjalista w zakresie organizowania i oddziaływania kultury medialnej  
przewodnik turystyczny • pracownik przemysłu turystycznego  
krytyk literacki • manager działań artystycznych  
merytoryczny pracownik muzeum

Wykształcenie potwierdzone  
dyplomem UMCS - państwowej uczelni  
o uznanej przez pracodawców renomie

Możliwość kontynuacji nauki  
na studiach drugiego stopnia (magisterskich)  
w UMCS w Lublinie

Szeroka pomoc materialna  
w postaci stypendiów: naukowych, socjalnych,  
mieszaniowych, na wyżywienie, zapomóg losowych  
oraz stypendiów specjalnych dla osób  
niepełnosprawnych

Miła, przyjazna atmosfera,  
indywidualne podejście do studenta

Kontakt: ul. „Wira” Bartoszewskiego 10, 23-400 Biłgoraj  
tel./fax 084 686 23 11, e-mail: klb@poczta.umcs.lublin.pl

[www.umcs.bilgoraj.pl](http://www.umcs.bilgoraj.pl)

